



RYANNE COREY
Kim jesteś?



ROZDZIAŁ PIERWSZY

To przebudzenie było koszmarne. Wracała do przytomności, popadając z każdą sekundą w coraz większe przerażenie.

Z trudem uniosła powieki i zobaczyła siedzącą na jej piersi, tuż przy twarzy, ziemną wiewiórkę. Ostre jak brzytwa pazury przebijały ubranie i raniły skórę poniżej naprężonej ze strachu szyi. Kilkanaście centymetrów od własnych oczu ujrzała okrągłe jak koraliki, ciemne, sprytne i ciekawskie oczka zwierzątka.

Nie została jej ani sekunda na rozmyślanie, w jaki sposób zwierzątko znalazło się na niej. Wiewiórka wyglądała groźnie, zachowywała się wrogo i na pewno była mięsożerna.

Musiała pozbyć się jej. Natychmiast!

Paniczny strach sprawił, że jęknęła boleśnie. Spłószone zwierzątko wydało zabawny dźwięk, podobny do policyjnego gwizdka, i uciekło, przebiegając po jej ramieniu i szyi. Muśnięcie ciepłego futerka zwiększyło jeszcze obezwładniający ją strach. Objęła ramionami swe rozdygotane ciało, otworzyła szeroko usta i krzyknęła. Nigdy jeszcze nie wrzeszczała tak przeraźliwie.

Wtedy poczuła ból. Potworny ból głowy, który na-

silał się, gdy krzyczała. Przycisnęła obie ręce do skurzonego żołądka, próbując opanować się za wszelką cenę. Oddychała głęboko. Z trudem uniosła obolałą głowę. Dzięki Bogu! Mały potwór uciekł, zniknął wśród...

Drzew.

Wśród drzew?!

Załkała cicho. Tylko do tego była zdolna w tym momencie.

Z prawej i z lewej strony ciągnęła się zielona ściana lasu. Ona zaś leżała pod zbitym z grubych bali, zakurzonym i oplatanym pajęczynami stołem. Jego blat znajdował się dokładnie metr nad jej głową. Pod plecami czuła twarde, kamienisty grunt. Ostre okruchy skalne boleśnie gniotły ją i raniły.

Bywają w życiu takie momenty, kiedy trzeba wejść w głąb własnej duszy. To była właśnie taka chwila. Zamknęła oczy i zastygła w bezruchu, czekając, aż z obolałego mózgu otrzyma jakąś odpowiedź. Wyjaśnienie przyczyn, dla których spała pod piknikowym stołem w samym środku lasu. Lecz odpowiedź nie nadchodziła. Powiedziała więc sobie, że na pewno jest zbyt roztrzęsiona, by myśleć logicznie. Przesunęła się ostrożnie, gdyż ostry kamień wbijał się jej w plecy, i odetchnęła głęboko. Wciąż jednak ból fizyczny utrudniał koncentrację. To nie był zwykły ból głowy. Czuła go głęboko pod czaszką. Doskwierał jej tak mocno, że nie była w stanie zebrać myśli. Nie znajdowała żadnego logicznego wytłumaczenia dla swojego dziwnego położenia. Nie było także żadnego nie-

logicznego wytłumaczenia! Poczwała nagle, że żar oblewa jej policzki, a serce zamienia się w bryłę lodu, by po chwili w szaleńczym łomocie zacząć tłuc się o żebra.

Nie pamiętała absolutnie niczego!

Zacisnęła nerwowo zdrętwiałe palce. W niemym przerażeniu czekała na cud, który sprawi, że wróci do niej najmniejszy choćby strzęp wspomnienia z przeszłości. Co jadła na śniadanie tego ranka? Czy w ogóle jadła śniadanie? Cokolwiek! Im bardziej jednak próbowała wniknąć we własną podświadomość, tym większy ogarniał ją przestach. Wielki Boże! Nie potrafiła przypomnieć sobie nawet własnego imienia.

Cichy szloch ścisnął jej gardło. Nie chciała jednak, by płacz znów zbudził demona bólu w jej głowie. Niestychanie powoli wyczołgała się spod stołu i usiadła. Zamrugwała gwałtownie powiekami, gdy przed oczami eksplodowały jej ogniste błyski.

Znajdowała się na niewielkiej polanie, na małym, od dawna nie używanym obozowisku. Nie rozpoznawała wokół niczego. Nawet cienia skojarzeń. Niedaleko dostrzegła ślady ogniska. Poszarzały popiół, stare puszki po piwie i wyschnięte kości kurczaka. Miała nadzieję, że to był kurczak. Kości ludzkie są większe i jednak rzadziej spotyka się je na opuszczonych obozowiskach.

Chyba tracę rozum, pomyślała. Nie było to ściśle określenie. Już go straciła. Całkowicie i zupełnie, łącznie z całą swoją tożsamością.

Potrzebowała pomocy. Jak jeszcze nikt nigdy w życiu.

Wstała pomału, trzymając się stołu, roztrzęsiona jak galareta. Oddychała ciężko, dopóki nie uznała, że potrafi stać o własnych siłach. Potem przyłożyła dłonie do ust i zaczęła wzywać pomocy. Odwracała się we wszystkie strony, ponawiając wołania, które bolesnym echem dźwięczały w jej biednej głowie. Wreszcie po wielu minutach zrozumiała, że jest sama, całkiem sama pośrodku zielonej leśnej głuszy.

Usiadła na krawędzi stołu i modliła się żarliwie o wsparcie i ratunek.

Nie opodal przemknął przez polaną bury zając, wznecając obłoczki kurzu. Marna to była odpowiedź na jej prośby. Nie było w pobliżu żadnego skrzydlatego przewodnika. Nie przybył żaden wysłannik niebios. Zdana była tylko na siebie.

Pociągając nosem, zaczęła badać swój stan posiadania. Na nogach miała parę lekkich sandałów. Na pewno były drogie i szykowne, ale zupełnie nieprzydatne do wspinaczki i dalekich wędrówek. Biała bluzeczka i krótka, obcisła, uszyta również z białego jedwabiu spódniczka były niezwykle gustowne i eleganckie, lecz nie dawały praktycznie żadnej osłony przed górskim chłodem. Mały, złoty, ozdobiony diamentami zegarek też był nieprzydatny. Szkiełko było stłuczone, a wskazówki połamane.

Krótko mówiąc, nie miała niczego.

Zupełnie niczego.

Ogarnęła ją rozpacz. Była potwornie zmęczona i wyczerpana. Z przerażenia zapomniała niemal o oddychaniu. Pragnęła tylko położyć się na stole, zasnąć

i zbudzić się z tego koszmaru. Bała się jednak, że jeżeli położy się, to nigdy już nie da rady wstać.

Musi wziąć się w garść!

Na skraju polany zobaczyła na pół zarośniętą ścieżynę. No jasne! Jeżeli znajdowała się na publicznym polu namiotowym, to gdzieś niedaleko musi być jakaś szosa. Powinna ją odnaleźć i zatrzymać jakiś samochód. Na pewno ktoś jej pomoże. Okaze odrobinę współczucia, nakarmi, napoi i zawiezie do lekarza. Wtedy odzyska tożsamość, nazwisko i imię...

Spuściła głowę i wielkie łzy popłynęły jej po policzkach.

Gabriel Coulter był człowiekiem zadowolonym.

Spędzał czas samotnie i bardzo to sobie chwalił. W półciężarówce miał stare, dobre bambusowe wędzisko z archaicznym jednobiegowym kołowrotkiem, kurtkę z osiemnastoma kieszeniami, wodery i duży pleciony kosz. Po kilku godzinach łowienia na muchę w Cottonwood Creek kosz pełen będzie tęczowych pstrągów. Gabe nie wątpił w udany połów. Świat uśmiechał się do niego tego dnia. Gdy nałapie już dość, zabierze ryby do domu i usmaży na obiad. A potem będzie mógł spędzić spokojne popołudnie, szykując nowe sztuczne muchy. Nigdy ich za wiele.

Niektórzy nazywali go pustelnikiem, odludkiem. On mówił o sobie: szczęściarz.

Zatrzymał samochód tam, gdzie zawsze, na zakurzonej bocznej drodze, ponad kilometr od Cottonwood Creek. Czekał go jeszcze długi marsz, ale warto było.

Bardziej dostępne strumienie okupowane były przez wędkarzy-amatorów, wymachujących wędkami jak woźnica batem. Gabe wołał włożyć trochę wysiłku, by móc w spokoju oddawać się ulubionemu zajęciu.

Wydobył z auta wędkę i kurtkę, przewiesił przez ramię rzemień kosza i z woderami w ręce zasalutował dziarsko przed nalepionym na zderzaku dodge'a napisem: „Czas spędzony na wędkowaniu przedłuża życie człowieka”. Gdyby to była prawda, Gabe Coulter powinien żyć wiecznie.

Poranne słońce przesiewało jasne promienie przez osikowe liście. Spryskiwało go kroplami ciepła jak fontanna wodą w wietrzny dzień. Odurzający zapach drzew i dzikiej mięty uspokajał i rozleniwił. Gabe zjechał niemal cały świat, lecz nigdzie nie spotkał przyrody tak nęcącej i nieskażonej jak tutaj, w Górach Sawatch w Kolorado. Jedynie tutaj mógł poświęcać całe dnie zmaganiom z przebiegłym starym pstrągiem... i tylko temu.

Maszerując w dół, ku rzece, pogwizdywał starą kabaretową melodyjkę i przepowiadał sobie dobrodziejstwa, których doświadczał każdego dnia. Po pierwsze: nigdy się nie ożenił. Nie groziło mu więc, że ktokolwiek będzie zrządził w domu, choćby nawet spędził na rybach cały dzień. Po drugie: jego nowe buty były bardzo wygodne. Po trzecie: jego wrzody nie dawały znaku już od ponad miesiąca. Po czwarte wreszcie: skończył w zeszłym tygodniu czterdzieści lat i absolutnie nikt o tym nie wiedział.

Życie jest jednak cholernie piękne.

Zatrzymał się na wzgórzu nad rzeką i delektował widokiem swych posiadłości. Oto jego rzeka wijąca się wąską wstążką wśród drzew. Jego łąka porośnięta świeżą trawą i dzikimi kwiatami. Gdzieś tam widać było wygniecionie przez jelenie legowiska. Oto jego drzewa, jego niebo i jego świeże górskie powietrze. A tam, skacząc nad powierzchnią lśniącej wody, był jego pstrąg, proszący się wprost, by go złowić.

Poczuł się tak wolny, tak przepełniony radością, że musiał to zrobić. Odłożył na ziemię sprzęt wędkarski, uniósł twarz ku niebu i wałąc się pięściami po piersi, wydał z siebie dziki krzyk Tarzana. Nie powstydzili się go nawet Johnny Weissmuller. Już prawie słyszał ryk słoni, odpowiadających mu z oddali.

Zadowolony z siebie Król Gór Sawatch zamierzał właśnie pozbiierać sprzęt, gdy nagle zamarł w bezruchu.

Nie był sam!

Wprost czuł na plecach czyjś wzrok. Zbyt długo żył sam, żeby nie wyczuć, gdy naruszano jego drogocenną samotność.

Odwrócił się powoli, mrużąc oczy przed słońcem. W dół zbiega, aż do rzeki, falował lekko na wietrze zielony kobierzec. Nagle wśród morza zieleni dostrzegł złotowłosą głowę. Osłonił oczy dłonią i zobaczył kobietę siedzącą pod drzewami nad samą wodą. Błada twarz nieznanym zwrócona była w jego kierunku. A w oczach siedzącej widać było tylko przeżenie.

Niech to jasna cholera! pomyślał Gabe.

Przejechał palcami swoje długie, sięgające niemal do ramion, brązowe włosy. Uświadomił sobie, że nie strzygł się już od ponad czterech miesięcy. Ostatnio przewiązywał włosy opaską, by nie przesłaniały mu oczu. Dziś jednak nie zrobił nawet tego i wiatr plątał i rozwiewał długie pasma wokół twarzy. Wcale nie chciał, by przestraszona blondyneczka szukała ratunku przed zarośniętym dzikusem, skacząc do rzeki. Taki plusk wystraszyłby wszystkie ryby.

Spróbował przywołać na twarz czarujący uśmiech. Jednak z mizernym skutkiem. Wyszedł z wprawy.

- Proszę się nie obawiać - zawołał uspokajająco.
- Nie jestem niebezpieczny. Nie wrzeszczałbym jak Tarzan, gdybym wiedział, że mam widownię.

Nie zareagowała. Nie poruszyła się. Nawet nie mrugnęła powiekami.

Była bardzo młoda. Wyglądała na dwadzieścia jeden, najwyżej dwadzieścia dwa lata. Gabe nie mógł zrozumieć, co taka osóbką robiła sama w środku tej głuszy. Nigdzie po drodze nie zauważył żadnego auta albo śladu jakiegoś obozowiska.

- Zaskoczyłaś mnie nie mniej niż ja ciebie - powiedział, schodząc powoli ze wzgórza. Wciąż usiłował się uśmiechać. - Zwykle oprócz mnie i pstrągów nie ma tu nikogo.

Powiew wiatru odgarnął jej włosy z czoła. Początkowo sądził, że na prawej skroni zobaczył plamę błota. Jednak gdy podszedł bliżej, zorientował się, że to nie brud, ale olbrzymia rana. Zauważył także czerwone oczy dziewczyny i spuchnięty nos. Zrozumiał, że płakała.

To nie był dobry początek miłego porannego wędkowania.

Stanął w wysokiej trawie o krok przed nieznajomą.

- Widzę, że się zraniłaś. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Zraniłam się? - spytała zdumiona, jakby nie rozumiejąc, co powiedział.

- Rana. Tutaj. - Gabe przytknął palec do własnej skroni.

Dotknęła zranionego miejsca i syknęła z bólu.

- O rety! Teraz rozumiem, czemu głowa tak mnie boli. Niczego nie zauważyłam.

- Niczego nie zauważyłaś? - Gabe nie mógł zrozumieć, kto pozwolił jej na samotną włóczęgę w tych stronach. Nie wiedziała nawet, jak powinna się ubrać.

- Jak mogłaś zranić się tak mocno i tego nie zauważyć?

- Nie wiem - szepnęła.

- Upadłaś?

- Być może. Nie wiem. Nie pamiętam.

Pogodny uśmiech zniknął z jego twarzy. Po wyrazie oczu dziewczyny i drzeniu jej głosu zorientował się, że znajduje się w stanie hysterii. Sytuacja wymagała, by do akcji wkroczył mężczyzna. Kucnął tuż przed nią i powiedział:

- Możesz nie pamiętać, w jaki sposób się zraniłaś, ale jestem pewien, że powoli wszystko sobie przypomnisz. Trzeba tylko trochę pomóc twojej pamięci. Zacznijmy więc od początku. Jak ci na imię?

- Nie wiem.

- Na pewno wiesz - powiedział łagodnie. Starał się zachować cierpliwość, choć czas uciekał nieubłaganie. - Musisz mi zaufać. Inaczej nie będę mógł ci pomóc.

- Nic nie rozumiesz - szepnęła, trąc oczy pięściami. - Straciłam pamięć. Nie mogę podać ci mego imienia, bo go nie pamiętam. Nie pamiętam w ogóle niczego! Nie znam żadnego wytłumaczenia dla rany na mojej głowie. Nawet nie wiem, jakiego koloru są moje oczy. Kilka godzin temu oprzytomniałam pod stołem piknikowym. Siedziała na mnie wiewiórka. Miała takie okropne zęby, a ja nawet nie potrafiłam przypomnieć sobie, czy ziemne wiewiórki przenoszą wściekliznę. Nie wiem, czemu leżałam pod tym stołem. Nie mam pojęcia, dlaczego znalazłam się w tych stronach całkiem sama, ani też czemu mam na sobie taki strój, jeżeli zamierzałam obozować w górach. Od maszerowania w tych idiotycznych sandałach mam poranione stopy. - Ukłękła nagle i zarzuciła mu ramiona na szyję, wtulając wilgotny nos w kołnierzyk jego koszuli. - Jestem taka szczęśliwa, że cię widzę. Nigdy dotąd nie cieszyłam się aż tak. Zupełnie nie wiedziałam, co mam robić dalej. Nie mogłam znaleźć żadnej szosy. I tak bardzo bałam się niedźwiedzi. Myślałam już, że umrę tutaj. Modliłam się, żeby ktoś mnie odnalazł i uratował. Dzięki Bogu, ty mnie znalazłeś!

Gabe czuł na policzku jej gorący oddech. Była autentycznie przerażona. Jej historia była tak dziwaczna i nieprawdopodobna, że musiała być prawdziwa.

A zapowiadał się taki śliczny dzień.

Nie bardzo wiedział, co począć. Nigdy dotąd nie miał do czynienia z osobą na skraju załamania nerwowego i z całkowitą amnezją. Przytulił ją więc i uspokajająco poklepywał po plecach. Ponad jej ramieniem ujrzał wyskakującego z wody pstraga. Był wielki. Ogromny. Prawdziwy potwór.

- Nieprawdopodobne - szepnął.

- Wiem. - Odsunęła się. Tuż przed sobą ujrzał ciemne, ogromne oczy. - Wiem. To przypomina senny koszmar. Tak się cieszę, że nadszedłeś. Nie wiem, co zrobiłabym bez ciebie. Jestem zagubiona. Kompletnie przerażona. Wciąż miałam nadzieję, że za chwilę się przebudzę i koszmar się skończy. I wciąż to trwało dalej. To jakieś szaleństwo, zupełnie...

- Uspokój się. Wszystko będzie dobrze. - Ujął w dłonie jej twarz. Byle tylko znów się nie rozpłakała. Przyglądał się jej przez moment i pojał nagle, że po raz pierwszy w życiu zetknął się z prawdziwą doskonałością. Nawet w takim opłakanym stanie była piękna. Delikatne ciało, wspaniałe usta i te brązowe oczy... Głęboki dekolt odsłaniał rozkoszne zagłębienie, a spod krótkiej spódniczki wystawały długie, gładkie, ciemne od opalenizny nogi. Całe jej ciało było doskonałe. Tym gwałtowniej odczuł samotność ostatnich dwóch lat swego życia.

Westchnął ciężko i zdjął dłonie z jej twarzy.

- Każdy z nas jest w jakiś sposób zagubiony. Posłuchaj. Jestem pewien, że istnieje logiczne wyjaśnienie tego wszystkiego. Myślę, że teraz powinniśmy poszukać lekarza. Jest taki jeden, w Ophir, jakieś

czterdzieści kilometrów stąd. To mój przyjaciel. Niedawno przeszedł na emeryturę, ale na pewno ci pomoże.

- Ophir? - powtórzyła, kręcąc bezradnie głową.
- Ophir?

- Ophir - powtórzył. - Rymuje się ze słowem wiewiórka.* - To bardzo schludne i porządne miasteczko.

- Ta nazwa nie budzi we mnie żadnych skojarzeń. Czy sądzisz, że tu mieszkałam? - spytała z obawą w głosie. - Ani trochę nie czuję, żebym żyła w miejscu zwanym Ophir.

- To całkiem prawdopodobne - mruknął, pochłonięty bez reszty walką z samym sobą. Bliskość tej dziewczyny zniewalała go. Jej kobiecość działała na zmysły. Łagodny zarys brody, sposób, w jaki oczy kryły się za długimi rzęsami, piersi wolno wznoszące się i opadające pod białym jedwabiem. Siedział bez ruchu i gapił się na nią.

- Kobiety w tych stronach nie wkładają sandałków, wybierając się na piknik w góry. Myślę, że nie jesteś stąd.

- Nie jestem stąd? Skąd w takim razie? Nie tylko nie wiem, skąd pochodzę, ale nie mam nawet pojęcia, gdzie teraz jestem.

- Jesteś w Kolorado - powiedział, patrząc, jak w zamyśleniu przesunęła językiem po dolnej wardze.

* Gra słów: Ophir - nazwa miasta i gopher (żarłoczna wiewiórka północnoameryk.) w wymowie brzmią bardzo podobnie (przyp. tłum.)

Poczuł nagle, że zeszywniał cały. Dosłownie cały. Wstał szybko i spytał:

- A co z Denver? Czy ta nazwa z czymś ci się kojarzy? Albo Aspen? Vail? Nic? Żadnego sygnału?

- Nie... chyba nie. - Zmarszczyła nos. - Wiem, że Denver jest stolicą stanu Kolorado, a do Aspen i Vail jeździ się na narty. Ale nie mam żadnych osobistych skojarzeń. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek byłam w którymś z tych miejsc. - Głośno przełknęła ślinę i opuściła ramiona. - Może po prostu zwariowałam, uciekłam z któregoś z ukrytych w górach sanatoriów i kryję się teraz po lasach, żyjąc wśród dzikich zwierząt i sypiając pod piknikowymi stołami?

- Wiemy przynajmniej, że masz wrodzony talent - powiedział Gabe. - To po pierwsze. I powiem ci coś jeszcze, moja mała, zasmarkana przyjaciółko. Twoje imię zaczyna się na literę A, a nazwisko na J.

- Co takiego?!

- Spójrz. - Delikatnie zdjął chustkę, którą związane były jej włosy. - Tu są wyszyte inicjały. A.J. Takie jedwabne, haftowane apaszki raczej nie są tanie. Myślę, że z powodzeniem możemy odrzucić hipotezę o sanatorium.

- Imię zaczyna się na A. - W zamyśleniu przeczesywała palcami opadające na twarz włosy. - Angelica? Adrienne?

- Agnes? - dorzucił Gabe, oddając jej apaszkę. - Alberta?

- Myślę, że wiedziałabym, gdybym była Alberta.

- Agatha?

- Nie czuję się jak Agatha.

- Coś ci powiem - rzekł. - Ponad kilometr drogi dzieli nas od mojego samochodu, a potem jeszcze pół godziny jazdy do Ophir. Przez ten czas będę nazywał cię A.J. Zniesiesz to jakoś?

Zamiast odpowiedzieć, nieznajoma ochrzczona właśnie imieniem A.J. poderwała się z piskiem i wskoczyła na kamień.

- Widziałeś?! - krzyczała, wymachując rękami. - Widziałeś, jakie wielkie? Siedzą mnie przez cały dzień. Są wszędzie!

- O czym ty mówisz, do diabła?

- O tych piekielnych wiewiórkach. Kiedy to się wreszcie skończy? Muszę odpocząć, umyć się, łyknąć aspirynę. - Ukryła twarz w dłoniach. - Czuję, że jestem tu po raz pierwszy. Wiem, że nigdy nie bywałam w takich warunkach. Może zostałam uprowadzona i porzucona, bym umarła w tej głuszy?

- Musimy mieć nadzieję - mruknął Gabe, zaciskając wargi. Przez krótką chwilę zapragnął zanurzyć dłoń w jej lśniących włosach. Machnął jednak tylko ręką, odpędzając komara.

- Pora ruszać - powiedział. - Nie ma sensu siedzieć tu dłużej. A poza tym, jeśli ktoś cię szuka, na pewno skontaktował się z szeryfem w Ophir. To jedyne miasto w promieniu stu kilometrów. Dasz radę dojść do ciężarówki?

- Jeśli obiecasz mi, że potem będę mogła odpocząć, doczołgam się, jeśli nie dam rady inaczej się poruszać.

- To rozumiem - rzekł z zadowoleniem. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zostawi ją u starego doktora Hornbakera i zdoła jeszcze powędkować przez kilka godzin. - To będzie łatwa droga.

Ujęła podaną dłoń i wstała powoli. Nagle zamknęła oczy i jęknęła cicho:

- Och... mój żołądek.

- Hej? - Odskoczył gwałtownie. - Będziesz wymiotować?

- Nie. Jestem tylko strasznie głodna. Nie jadłam już od... Nie pamiętam, kiedy jadłam ostatni raz. Mam wrażenie, że przed wielu tygodniami.

- Proszę. - Z kieszeni kurtki wyjął foliowy woreczek z żółtym serem. Doskonała przynęta. - W Ophir znajdziemy coś lepszego.

Rzuciła się na ser, jak nie robił tego żaden pstrąg.

- Nie wiem, jak ci dziękować - mówiła, oblizując palce. - Nie wiem nawet, jak ci na imię.

Rzucił jej długie spojrzenie. Musi kontrolować swoje emocje. Jest starszy i bardziej doświadczony.

- Mów do mnie: „panie Coulter” - powiedział, odwracając się od niej. - Zawsze uważałem, że starszym należy się szacunek.

ROZDZIAŁ DRUGI

Miasteczko Ophir, którego nazwa tak dobrze rymowała się ze słowem: wiewiórka, składało się z kilku zaledwie ulic. Ze wszystkich stron otaczały je, ciągnące się aż po dalekie wzgórza, pola uprawne. Oprócz pastelowo jasnych domów rozrzuconych hen, pod lasem, wszystko wokół było zielone.

A.J. siedziała obok mężczyzny każącego mówić do siebie „panie Coulter” w kabinie wielkiej, zielonej półciężarówki, i mrużąc oczy przed oślepiającym słońcem, rozglądała się nerwowo przez całą drogę. Rzuciła niespokojne spojrzenia to w lewo, to w prawo. Szukała czegoś, co nasunęłoby jej jakiegokolwiek skojarzenie.

Okragła fontanna z wielką, stojącą na ogonie rybą pośrodku, usytuowana przed zbudowanym w wiktoriańskim stylu budynkiem sądu, wyrzucała wysoko w niebo kaskadę wody. Dalej mały stragan z owocami. W witrynie sklepu z sukniami ślubnymi dostrzegła wywieszkę: „Wielka wyprzedaż”. Ale nic dotąd nie wywołało w niej wrażenia, że już to widziała. Wszystko było obce, miłe nawet, lecz całkiem nieznanome.

- Pamiętam melodię ze „Szczęk” - powiedziała nagle. Zanuciła cicho kilka taktów. - Właśnie mi się

przypomniała, ale nie wiem, dlaczego. Zresztą, nieważne - mruknęła, widząc jego naburmuszoną twarz.

- Czy pamiętasz film? - spytał. - Albo seans? Czy był tam ktoś z tobą?

- Nie. Film widziałam... ale niczego więcej nie pamiętam - szepnęła, łykając łzy. - Zupełnie nie wiem, co robić. Im bardziej próbuję coś sobie przypomnieć, tym bardziej staje się to nieuchwytnie.

We wstecznym lusterku ujrzała swoją twarz. Jasne włosy, wysokie łuki brwiowe nad brązowymi oczami, krótki, zadarty nos i gorączkowe wypieki na policzkach. I jeszcze ta mała blizna na policzku, której pochodzenia za nic nie potrafiła sobie przypomnieć. To jej twarz, a przecież była jej tak samo obca jak to miasteczko.

- Brązowe oczy - szepnęła. - Tak przypuszczałam.

- Śliczne oczy - powiedział „pan Coulter”. Urwał, jakby chciał dodać coś jeszcze. Po chwili odezwał się:

- Już niedaleko. Doktor Hornbaker mieszka przy końcu tej ulicy. Archie to dobry człowiek. Polubisz go na pewno.

- Dawno się znacie?

- Poznałem go kilka lat temu. Założył mi na ręce trzydzieści dwa szwy, gdy uczyłem się, jak nie należy patroszyć ryb. Wspaniale się tobą zaopiekuje. Zobaczysz.

Poczuła przykry ucisk w sercu, gdy usłyszała nutkę ulgi w jego głosie. Było jasne, że chciał pozbyć się jej jak najszybciej. Z trudem powstrzymywała łzy. Przyglądała mu się ukradkiem. Na twarzy tego mężczyzny

nie można było odczytać żadnych emocji. Miał śliczne, niebieskie oczy, ciemną od opalenizny skórę i długie kasztanowe włosy, które rozwiewał wpadający przez otwarte okno wiatr. Równie dobrze potrafiła wyobrazić go sobie z parą rewolwerów, wkraczającego do saloonu pełnego bandytów, jak i ubranego w elegancki garnitur, przemawiającego w sądzie. Jednak żaden z tych wizerunków nie dawał się dopasować do rzeczywistości. Jak zresztą w ogóle całe jej położenie. W głowie huczało jej od pytań bez odpowiedzi.

Było coś nierzeczywistego w sytuacji, w której się znalazła. Mężczyzna obok niej, miasteczko, miłe, lecz całkiem obce, i to obrzydliwe wrażenie, że została wydarta z samej siebie. Wyrwana z korzeniami. Dokuczał jej nieznośny ciężar pytań, na które nie potrafiła odpowiedzieć, pogłębiając jeszcze pustkę w jej głowie. I do tego wszystko jeszcze ten „pan Coulter” z trudem tylko maskujący zniecierpliwienie jej obecnością i koniecznością odłożenia spotkania z ukochanymi pstrągami.

Dlaczego ani razu nie uśmiechnął się do niej? Czy nie zorientował się, że teraz jest jej dosłownie jedynym przyjacielem? Czy tak trudno o odrobinę współczucia? Chyba nie można jednak oczekiwać zbyt wiele od kogoś, kto każe mówić do siebie „panie Coulter”. Tak bardzo chciała móc nazywać go jakoś inaczej, mniej oficjalnie. Gorąco pragnęła, by powiedział jej, że wszystko będzie dobrze.

Mocno zacisnęła pięści, czując, jak opuszczają ją siły.

- Strasznie się boję - wyszeptała.

Odwrócił głowę i spojrzał na nią. Podświetlone słońcem włosy falowały na wietrze. Wydało się jej, że dostrzegła gorący błysk w tych zabójczych, niebieskich oczach. A może tylko tak jej się zdawało.

Oderwał rękę od kierownicy i ujął jej dłoń leżącą na siedzeniu. Uścisnął ją delikatnie w geście pocieszenia. Popatrzyła na doskonały profil jego twarzy i poczuła, że był zainteresowany nią o wiele bardziej, niż to okazywał.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział. Gwałtownie cofnął dłoń i mocno ścisnął kierownicę. Skręcił na podjazd i zatrzymał samochód przed kolorowym domem z amerykańską flagą łopocącą na maszcie anteny telewizyjnej.

- Świetnie. Widzę jego samochód, więc i on jest w domu.

- Doktor tu mieszka? - A.J. nie mogła ukryć zdumienia, gdy przeczytała wymalowany na frontowych drzwiach napis: „Naczelną powinnością człowieka jest bawić się”. - Panie Coulter, ja doprawdy nie chciałabym zawracać głowy pańskim przyjaciołom. Czy nie lepiej byłoby, gdybyśmy pojechali do szpitala i...

- Właściwie czemu nie? - Wyłączył silnik i spojrzał na nią uważnie. - Pojedziemy prosto do Kliniki Akademii Medycznej w Ophir, gdzie przebadają cię na Specjalnym Oddziale dla Włóczących się po Lasach Osób Dotkniętych Amnezją i Obsesją na Tle Wiewiórek Ziemnych.

- Tutaj nie ma szpitala? - Zagryzła wargi.

- Ależ jest. Nowiuteński szpital... w Whittier, jakieś czterysta kilometrów stąd. Osobiście jednak uważam, że doktorowi Hornbakerowi można zaufać bez zastrzeżeń. Byłbym spokojniejszy, gdyby mógł cię teraz zbadać. Ale, oczywiście, decyzja należy do ciebie.

Nie chciała być nikomu ciężarem. Nie bardzo jednak miała ochotę, by badał ją lekarz, według którego naczelną powinnością człowieka była zabawa. Ale chyba jednak nie miała wielkiego wyboru.

- Czy on sam namalował te zabawne obrazki na okiennicach? - spytała nieśmiało.

W ciągu trzydziestu pięciu lat praktykowania jako jedyny lekarz w Ophir doktor Hornbaker zawsze przyjmował niespodziewanych pacjentów w bibliotece na tyłach domu. Gdy przeszedł na emeryturę, wyrzucił stamtąd regały z książkami, zamówił w sprzedaży wysyłkowej potrzebne wyposażenie i urządził sobie małą salkę gimnastyczną. Na szczęście pozostawił w kącie lekarską leżankę, na której odpoczywał po ćwiczeniach.

Gdy doktor badał A.J. w swojej siłowni, Gabe spacerował nerwowo w niewielkim holu. Wbił ręce w kieszenie dżinsów i raz po raz zaciskał pięści. Próbował nasłuchiwać, lecz zza drzwi dobiegały jedynie szmery głosów. Nie mógł zapomnieć wzroku A.J., tego, w jaki sposób patrzyła na niego w samochodzie. Jej spojrzenie wniknęło weń głęboko i poruszyło dziwnie znajome struny. Przybył w te strony przed

dwoma laty tylko dlatego, że było stąd bardzo daleko dokądkolwiek. Od tej pory nie należał do niczego ani do nikogo. Wiedział, co to znaczy być samotnym i zagubionym.

Współczuł jej. Współczuł też i sobie, bo nie potrafił wyzwolić się od podsuwanych mu przez wyobraźnię obrazów. Jej gładkie, nagie i gorące ciało w jego uścisku. Zmysłowe usta i lśniące oczy, słońce rozświetlające jej włosy. Wiedział, że to głupota, ale nie potrafił dać sobie z tym rady.

Zatrzymał się przy ścianie i uniósł głowę. Wiedział, że zrobił dla niej, co tylko mógł. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że teraz powinien odejść, odsunąć się. Matka natura zrobiła paskudny kawał Królowi Gór Sawatch, zsyłając mu złotowłosą Wenus, gdy zapowiadał się taki wspaniały dzień na ryby. Natura doskonale znała jego słabości.

Po dwudziestu minutach w drzwiach ukazała się kudłata, siwa głowa i doktor przywołał Gabe'a. Znali się na tyle długo, że Gabe nie zdziwił się wcale, gdy Hornbaker zaprosił go, by usiadł na siodełku pokojowego roweru treningowego.

A.J. siedziała na leżance, kołysząc nogami. Uśmiechnęła się lekko, gdy Gabe gramolił się na rower, lecz w jej oczach wciąż czaił się lęk. Była taka delikatna i krucha. Prześliczna.

Gabe zacisnął szczęki i mocno ujął uchwyty roweru. Próbował patrzeć wprost na ścianę, lecz wciąż zerkał na opięte delikatnym jedwabiem biodra. Pstrag, sztuczne muchy, wielki okoń... Zmuszał się do ode-

rwania myśli od tych smutnych, wielkich oczu. Mu-
chy, okoń...

- Sytuacja jest wielce kłopotliwa - zaczął doktor
Hornbaker.

- Nie mów! - mruknął Gabe.

- Jako lekarz niewiele mogę pomóc. Uraz głowy,
jakiego doznała pacjentka, był wystarczająco silny, by
spowodować wstrząs. W takich przypadkach chwilo-
wa utrata pamięci nie jest czymś niezwykłym.

- Chwilowa? - powtórzyła A.J., spoglądając pyta-
jąco to na jednego, to na drugiego. - To znaczy, że
odzyskam pamięć? Niebawem?

- Tego nikt nie wie. Może to nastąpić w ciągu kilku
godzin, raczej jednak w ciągu kilku dni... jak sądzę.
Zwykle okrucy wspomnień wracają stopniowo z u-
pływem czasu. Moja rada jest prosta: odpoczywaj
i zdrowiej, i pozwól, by pamięć wracała sama, w spo-
sób naturalny. - Uśmiechnął się do niej łobuzersko.
- Musisz wiedzieć, że jestem wybitnym specjalistą od
amnezji. Z nabożną uwagą oglądam opery mydlane
w telewizji.

- Świetnie, Archie. - Gabe posłał mu mordercze
spojrzenie. - Rób jej dalej wodę z mózgu. Czemu nie
powiesz, że jesteś znanym w okolicy lunatykiem?

- Śmiech jest najlepszym lekarstwem - odparł do-
ktor. - Zbyt długo żyłeś samotnie, Gabe Coulter. Stra-
ciłeś poczucie humoru.

Gabe.

A.J. wbiła wzrok w siedzącego na rowerowym sio-
dełku mężczyznę. W końcu poznała jego imię... cho-

cięż wcale sobie tego nie życzył. Gabe. To chyba zdrobnienie od Gabriela. Żył samotnie. To znaczy, że nie był żonaty. Zresztą wyglądał na człowieka, który zwykł był chadzać własnymi drogami. Żonaci mężczyźni są zupełnie inni.

Nagle krzyknęła cicho.

- Co się stało? - Gabe zeskoczył z siodełka. - Czy coś cię boli?

- Może jestem mężatką - powiedziała. - Mogę mieć męża.

- Mężatki zwykle mają mężów. - Doktor Hornbaker z powagą pokiwał głową.

- Ale mąż... - głos jej się załamał. Myśl, że może mieć męża, którego nawet nie pamięta, przeraziła ją okropnie. Może gdzieś tam martwi się o nią, szuka jej -

Znów krzyknęła i zakryła sobie usta dłonią.

- Jasna cholera! O co teraz chodzi? - Gabe podszedł do niej. - Jeśli nic cię nie boli, przestań wydawać takie dźwięki.

- Dzieci - jęknęła, porażona tą myślą. Wbiła nieruchome spojrzenie w guzik od koszuli Gabe'a. - Może mam dzieci. Bóg jeden wie, jak dużo.

- Zameżne kobiety często mają dzieci. - Doktor Hornbaker wspiał się na palce i spoglądał na nią spoza pleców Gabe'a. - Jednak nie sądzę, byś mogła mieć więcej niż jedno... *może* dwoje. Sama jesteś *jeszcze* bardzo młodym kurczątkiem.

- Ale dzieci... jak mogłabym zapomnieć o własnych dzieciach? Która kobieta...

- Nie masz dzieci! - warknął z wściekłością Gabe.
- Przestań ją straszyć, doktorze - dodał z naciskiem.
- Przecież widzisz, że ona ma skłonności do hysterii.
- Skąd wiesz, że nie mam dzieci? - nie ustępowała A.J. - Jeżeli mam męża, nie ma powodu...

- Czemu uważasz, że masz męża? - Niecierpliwie potrząsała głową, odrzucając włosy z twarzy. - Spójrz na swoje dłonie. Nie masz obrączki. Nie widać nawet śladu, że kiedykolwiek ją nosiłaś. Z tego wniosek, że nie jesteś ani żoną, ani matką.

Nie spojrzał na nią ani razu podczas tej przemowy. A więc wiedział, już wcześniej sprawdził, że nie miała obrączki. Było to bardzo interesujące.

- Mimo to mogę mieć męża. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Jest to możliwe. Może po prostu nie noszę obrączki.

- Wiele mężatek nie nosi obrączek - przyznał doktor. Gabe bez mrugnięcia wytrzymał jej spojrzenie. Z wyrazu jego twarzy nie sposób było wyczytać, co dzieje się w jego duszy.

- Nie masz męża - powiedział cicho. Jednak było w jego głosie coś, co kazało jej zaniechać dalszej dyskusji na ten temat. Oblizła wargi. Była zdenerwowana, roztrzęsiona. Ale emanująca z muskularnego ciała Gabe'a energia zdawała się ogrzewać pomieszczenie, kojąc i łagodząc emocje. Kiwał się wolno na piętach, taki męski, taki... piękny. Cała krew odpłynęła nagle z jej twarzy. Poczowała ogarniającą ją słabość. Nagle zrozumiała, że została... zniewolona przez tego mężczyznę.

I było to bardzo przyjemne uczucie.

- Muszę odetchnąć świeżym powietrzem - mruknął Gabe zduszonym głosem. - Zajmij się A.J., Archie. Ja tymczasem pojedę do biura szeryfa. Jeśli ktokolwiek jej poszukuje, musiał skontaktować się z Theo. Przy odrobinie szczęścia...

- Nie - powiedział doktor Hornbaker.

- Nie? - Głos Gabe'a zabrzmiał gniewnie. Stali twarzą w twarz, jeden uśmiechnięty, drugi zirytowany.
- Co masz na myśli?

- To, że nie masz szczęścia. - Doktor splótł dłonie.

- Theo pojechał na ryby. Wiem, bo byłem u niego dziś rano, żeby zaprosić go na partyjkę pokera. Znalazłem tylko kartkę na drzwiach jego biura, że każdy, kto potrzebuje pomocy, może skontaktować się z władzami w Whittier albo odszukać Theo nad jeziorem Toluca. Dokładnie było tam napisane: „Wierzę, że mnie znajdziecie”. Ty, Gabe, najlepiej wiesz, jak to jest z wędkarzami.

- Do diabła ze mną! Ale Theo jest urzędnikiem państwowym! Nie może codziennie jeździć na ryby! Co będzie, gdy coś się stanie? Ktoś może go potrzebować.

- Dziś jest wtorek. - Doktor zmarszczył brwi. - Jeszcze nigdy nic nie wydarzyło się tutaj we wtorek. Powinieneś o tym wiedzieć. I uważaj, co mówisz. Dama jest wśród nas.

- O to chodzi. - Gabe rozpaczliwie uniośł rękę.

- Ona potrzebuje pomocy, informacji...

- Dwudziestu czterech godzin w łóżku - przerwał

mu doktor. - Odpoczynku. Potrzebny jej wypoczynek. Sen. Musi się uspokoić. Powinna wrócić do sił. Resztą zajmie się sama natura.

- Jej potrzebna jest rozmowa z kimś, kto sprawdzi wykazy osób zaginionych, poszukiwanych. Musi skontaktować się z odpowiednimi władzami, z ludźmi, którzy mają doświadczenie w takich sprawach. To, czego jej naprawdę potrzeba, to...

- To, czego jej naprawdę potrzeba, to żebyście wy dwaj przestali rozmawiać o niej, jakby jej tu wcale nie było - wtrąciła się A.J. Była wściekła. Policzki jej płonęły. Oczy ciskały błyskawice. Wstała wolno i wzięła głęboki wdech. - Potrzebuje także kąpieli. I chce skorzystać z łazienki. To jest absolutnie konieczne.

- Oczywiście - powiedział doktor łagodnie. - Korytarzem w prawo, pierwsze drzwi po lewej stronie. Znajdziesz?

- Dam sobie radę. - Potarła policzek, patrząc na Gabe'a. - Jestem niezwykle wdzięczna za wszystko, co pan dla mnie zrobił, panie Coulter, ale nie chcę być ciężarem dla nikogo. Czuję się już znacznie lepiej. Sama porozmawiam z szeryfem, kiedy wróci. Naprawdę nie musisz się mną więcej zajmować. I tak zrobiłeś więcej, niż do Ciebie należało.

Ciszę, która zapadła po jej wyjściu, przerwał nagle zduszony jęk.

- Dlaczego właśnie mnie to musiało spotkać? - zawołał Gabe z rozpaczą. - Chciałem tylko złapać ślicznego tęczowego pstrąga na obiad.

- To nie ciebie spotkało, lecz ją - zauważył spokojnie doktor. - Zrozum to i pamiętaj o tym przez kilka najbliższych dni.

- Przez kilka dni? - W niebieskich oczach Gabe'a pojawiła się panika. - Posłuchaj. Chyba nie zrozumieliśmy się. Nie wiem, jakie masz zamiary, ale...

- Zaraz wszystko ci powiem. Za kilka minut pojedę do sklepu po krakersy i kulki serowe z cebulą na dzisiejszy wieczorek pokerowy. Myślę także o precelkach z makiem. I odrobinie solonych orzeszków. Nie można grać w karty bez słonych orzeszków. Później, gdy Theo wróci, przedstawię mu sprawę i zmuszę, by wykonał kilka telefonów. Ufam, że nasza pacjentka świetnie wypocznie. Cisza i spokój. To najważniejsze.

Gabe nie przepadał za niespodziankami. Przez ostatnie dwa lata robił tylko to, na co miał ochotę. I kiedy miał ochotę. Wiódł życie spokojne - z wyjątkiem tych nocy, gdy budził się zlany potem, roztrzęsiony, z głową pełną koszmarnych wizji. Mimo to żył jak chciał i nie miał zamiaru tego zmieniać.

- Masz rację, Archie. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej uważam, że A.J. najlepszą opiekę znajdzie w szpitalu w Whittier. Potrzebna jej pomoc specjalisty, dopóki...

- Pomoc specjalisty?! - Doktor nie krył oburzenia. - A ja to kim jestem?! Poza tym dwa dni temu po awarii grobli Little George woda zerwała most koło Whittier. Gdybyś miał radio albo telewizor, wiedziałbyś o tym. Teraz jedyna droga do Whittier wiedzie dookoła jeziora, przez Preston. To będzie jakieś sześć

godzin jazdy. Według mojej fachowej opinii A.J. bardziej posłuży odpoczynek niż sześciogodzinna jazda po wiejskich drogach.

Gabe poczuł, że znalazł się w pułapce. Miał wrażenie, że ściany pokoju zbliżają się powoli i nieubłaganie.

- Ale czy nie należałoby jej prześwietlić, na wypadek gdyby...

- Przyjadę do ciebie jutro rano i zbadam ją. Jeśli, w co wątpię, zauważę jakiegokolwiek powody do obaw, wezwę helikopter sanitarny, by przewiózł ją do Whittier lub Denver.

- Archie... to ty jesteś lekarzem. - Gabe westchnął ciężko. - Dużo lepiej dla niej będzie, gdy zostanie z...

- Z tobą - przerwał mu doktor łagodnie. - Dziś wieczorem odwiedzi mnie pół tuzina moich starych kumpli. Będziemy grać w pokera. Nie znajdziesz tu ciszy i spokoju, gwarantuję ci. Poza tym tylko ty możesz dać jej poczucie bezpieczeństwa. To ty ją znalazłeś, ty ją tutaj przywiozłeś. Wiem, jak bardzo cenisz sobie swój traperski, pionierski tryb życia. Ale przez kilka dni musisz wytrzymać. Rozumiesz? Musisz. Dla niej. Opiekuj się nią. Dbaj, by dużo spała i nie denerwowała się niczym. I nie karm jej samymi tylko rybami. Przeżyła poważny szok, ale nie jest mocno poraniona. Prawdę mówiąc, nie zdziwiłbym się, gdyby już jutro rano zupełnie odzyskała pamięć.

Gabe patrzył na niego, zaciskając szczęki. Wszystko układało się źle. Żył sobie sam w ukrytym wśród gór domu i nigdy nie czuł się samotny. A.J. mogła zmienić to wszystko. Jej obecność budziła dawno u-

śpione wspomnienia... i żądze. Była pociągająca, w każdym tego słowa znaczeniu. Czuł, że ta dziewczyna może zrujnować całe jego dotychczasowe życie.

- Moim największym błędem było to, że w ogóle wstałem dziś z łóżka.

- Daj spokój, do licha. Uśmiechnij się. Nie proszę cię o nic wielkiego. Musisz tylko, przez dzień czy dwa, być miłosiernym Samarytaninem. Zresztą tobie też dobrze zrobi taka odmiana. Będziesz miał z kim porozmawiać. Przypomnisz sobie, na czym polega sztuka konwersacji. Nacieszysz się widokiem pięknej, młodej dziewczyny siedzącej po drugiej stronie stołu.

Gabe spróbował wyobrazić sobie A.J. siedzącą za jego stołem. Za stołem na kozłach, z blatem zbitym z grubych bali, który zrobił własnymi rękami. Za stołem, który kiwał się jak kołyska, gdy oprzeć na nim łokcie. Był z niego dumny. Wcale nie zauważał, że stoi trochę niepewnie, nierówno. Gdy jadł obiad, siedząc przy wykonanym własnoręcznie stole, czuł się jak pionier, jak zdobywca. Odważny. Dumny. Niezależny.

Psiakrew!

- Życie jest niezwykle interesujące - rzekł doktor Hornbaker z niewinnym uśmieszkiem. - Nie uważasz?

ROZDZIAŁ TRZECI

Naprawdę wiele czasu upłynęło od chwili, gdy Gabe był ostatnio z kobietą. Zarówno w sensie fizycznym, jak i towarzyskim... w każdym sensie.

Kątem oka spojrzął na siedzącą obok A.J. i mocniej zacisnął dłonie na kierownicy. A ona spoglądała na drogę, obgryzając nerwowo paznokcie. Nagle zaburczało jej w brzuchu. I był to jedyny dźwięk, jaki rozległ się w samochodzie w ciągu ostatniego kwadransa.

- Powiniennem być kupić ci w mieście coś do jedzenia - powiedział Gabe. - Przepraszam... Zupełnie zapomniałem. Zrobię ci kanapkę, gdy tylko dojedziemy. To już naprawdę niedaleko.

A.J. pokiwała głową. Ze ściśniętego gardła i tak nie mogła wydobyć żadnego dźwięku. Dławiło ją poczucie osamotnienia. Wbrew gorącym zapewnieniom doktora Hornbakera, Gabe wcale nie wyglądał na uszczęśliwionego jej obecnością.

- Jeszcze tylko kawałek. Tą drogą w dół. - Gabe bębnił palcami po kierownicy. Próbował wymyślić jakiś temat do rozmowy. Bez skutku. Siedział milcząc jak kołek, z rosnącym poczuciem winy. - Nie jestem najlepszym kucharzem, ale nauczyłem się przyrządzać naprawdę dobre omlety. I pieczone pstragi... Nie ma

nic lepszego nad świeżutkiego pstrąga z rusztu. Lubisz ryby?

- Nie wiem - odparła ze smutkiem.

Jasne, że nie, pomyślał Gabe i zmarszczył brwi. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale tylko pokręcił głową.

- Wiem, o czym myślisz - głos A.J. drżał leciutko.

- Nie potrafisz wyobrazić sobie, co powinienesz ze mną zrobić, prawda?

Poprawił się na siedzeniu, nie odrywając oczu od drogi, którą jechali.

- Przecież to tylko kilka dni - powiedział powoli.

- Mam dodatkową sypialnię, więc nie będziesz mi w niczym przeszkadzać. A gdybym czasem narobił trochę zbyt wiele hałasu, wybacz. Od dwóch lat mieszkam sam.

- Dlaczego? - Jej ciemne oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

Gabe zamrugał nerwowo powiekami. Już nie pamiętał, kiedy ostatnio ktoś pytał o jego sprawy osobiste.

- Pragnąłem ciszy i spokoju.

- Dlaczego?

Poczuł ucisk w żołądku. Żyjąc samotnie miał pewność, że nikt nie będzie zadawał mu takich pytań.

- A czemu nie? - spróbował się uśmiechnąć. - Nikt mnie tu o nic nie pyta. Chodzę po górach, łowię ryby, wieczorami zasiadam przed kominkiem i czytam książki... robię wszystko, co sprawia mi przyjemność. Nie każdy ma tyle szczęścia.

- Z tego, co mówisz, wynika, że jesteś... jak to powiedzieć?... uciekinierem. Odsunąłeś się od świata.

- Można to i tak nazwać - mruknął zirytowany.
- Skupiłem się na życiu, a nie na urządzaniu sobie życia. Zawsze jesteś taka ciekawska?

- Nie mam pojęcia.

Oczywiście.

- Wiesz... - A.J. chrząknęła cicho - nie spotkaliśmy ani jednego samochodu, odkąd wyjechaliśmy z Gopher.

- Ophir.

- Ophir. Mieszkasz... na całkowitym odludziu. Ani śladu człowieka, dużo drzew...

- Czyż to nie wspaniałe? - Gabe pokiwał głową. - To zdumiewające, że uchowały się jeszcze w naszym świecie miejsca takie jak to. Żadnych wscibskich sąsiadów, trotuarów, autostrad, sygnalizatorów ulicznych. Całymi tygodniami możesz nie napotkać nikogo.

Gabe był szczęśliwy. Ona natomiast wcale nie była pewna, jakiego rodzaju miejsce było jej domem. Na pewno jednak źle czuła się wśród wiewiórek.

- Nigdy nie mieszkalam na odludziu - odezwała się nagle z wielką pewnością. - Nie wiem, kim jestem ani skąd pochodzę, ale czuję całym sercem, że nie nadaję się na żonę leśnika.

- Chyba że radykalnie zmieniają krój swoich mundurów - odparł, przywołując na twarz coś, co powoli zaczynało przypominać uśmiech.

Znów zapadło męczące milczenie.

- Wiem, o czym myślisz. - A.J. oparła obolałą głowę o zagłówek. - Żałujesz, że w ogóle wstałeś dziś z łóżka. Czuję to.

- Cudownie czytasz w moich myślach. - Gabe poczuł wyrzuty sumienia. Usłyszał bowiem nutkę lęku w jej głosie. Spojrzał na bladą, otoczoną złotą aureolą buzię i ujrzał wielkie, smutne oczy. Widać było, że A.J. z trudem walczy z sennością. - Może jesteś wróżbitką z cygańskiego taboru? - rzekł miękko. - Wypadłaś z wozu na kamienie i poraniłaś się. Zamknij teraz oczy i odpocznij. Nie myśl o niczym. Wszystko będzie dobrze, przyrzekam.

- Wcale nie jest pan taki okropny, panie Coulter - powiedziała sennie.

- Jak na odludka przystało, jestem niebezpieczny.

Spróbowała uśmiechnąć się do niego, lecz brakło jej sił. Była taka zmęczona. Oczy zamknęły się same, głowa zaś opadła... na kolana Gabe'a.

Jęknął boleśnie. Zesztywniał, gdy poczuł jej głowę na swoich udach... Popatrzył z góry na śliczną buzię. Wsłuchał się w cichy oddech śpiącej. Pokusa ogarnęła jego roztrzęsioną duszę. Świat zawirował.

Wcale nie był pewien, czy potrafi to wytrzymać.

Otulił ją ciężki woal. Cały świat zdawał się być skryty za grubą, matową szybą. Kiedy w końcu samochód zatrzymał się i zgasł silnik, jej zmęczony mózg z trudem tylko zarejestrował oderwane obrazy: niewielki dom zbudowany z cedrowych bali i kamieni, błyszczący w słońcu dach pokryty miedzianą blachą, duża, obudowana weranda, drzwi z kolorowymi szybami. Gabe podał jej rękę i zaprowadził do sporego pokoju ze stojącą z boku kanapą. Ledwo słyszalnym

głosem mruknęła, że chciałyby się zdrzemnąć, i padła na kanapę.

Zdawało się jej, że spała tylko chwilkę, gdy poczuła, że Gabe nią potrząsa. Mimo jej protestów skłonił ją, by zjadła przygotowaną przez niego grzanekę z serem. Zrobiła to dla świętego spokoju. Nadal pragnęła snu i wściekle protestowała, gdy Gabe nalegał, by przeniosła się do sypialni. W końcu Gabe uciał sprzeczkę, biorąc ją na ręce i niosąc w głąb domu. Znaleźli się w ciemnym, cichym i słodko pachnącym żywicą pokoju. Delikatnie położył ją na łóżku. Było chyba zrobione z obłoków, puchu i zapachu ziół. To zapewne najwspanialsze i najwygodniejsze łóżko na świecie, pomyślała.

- Przepraszam... - Z trudem uniosła powieki. - Tyle kłopotów...

- Wszystko będzie w porządku. Odpoczywaj. - Jego cichy głos docierał do niej jakby zza ściany. Podniosła rękę i odgarnęła mu z twarzy długie włosy.

- Podobają mi się twoje oczy - powiedziała.

Odwróciła się na bok i zasnęła.

Podczas gdy A.J. przesypiała popołudnie, Gabe zabrał się do robienia porządków. Zebrał porzrzucone w łazience brudne ubrania, wyszorował zakurzone podłogi, przyniósł nawet zapas drewna do kominka. Tygodniowy zapas.

„Masz piękne oczy”.

Jak uczeń rozpamiętywał jej słowa. Gdy przecierał lustro w łazience, ze zdumieniem spostrzegł

uśmiech na swojej twarzy. Nie chciał cieszyć się z jej powodu. Nie miał zamiaru ulegać jej wpływom. Nie chciał... chcieć czegokolwiek.

I nie powinien. Do diabła! Nie powinien.

Potem wziął prysznic. Włożył czyste dżinsy. Wciągał właśnie przez głowę czysty, świeży podkoszulek, gdy błogą ciszę przerwał nagle przeraźliwy kobiecy krzyk.

Przez krótką chwilę Gabe stał jak wmurowany. Potem rzucił się biegiem w stronę sypialni. Tupiąc bosymi stopami, myślał gorączkowo, co się stało. Zostawił otwarte okno. Coś mogło wśliznąć się do środka. Dobry Boże, żeby to tylko nie był niedźwiedź! Z całej siły pchnął drzwi i wpadł do pokoju.

- O co chodzi? Co się stało?

A.J. siedziała skulona na łóżku. Drżącym palcem wskazywała otwarte okno. Przez parapet włąził właśnie do pokoju szczupły osobnik z gęstwiną rozczochranych włosów. Miał na sobie kombinezon koloru khaki.

- Zabierz go! - krzyczała A.J., gryząc palce. - On tu włązi! Zrób coś!

Potężne ramiona Gabe'a uniosły się i opadły. Odechnął głęboko. Ucieszył się, że to nie jest niedźwiedź, ale żałował trochę, że nie ma karabinu. Czuł, że mógłby kogoś zastrzelić...

- Niech cię jasna cholera, Boyd! - wykrztusił. - Czyś ty zdumiał? Czemu zakradasz się przez okno?

- Ćwiczę bezszelestne podchodzenie wroga. - Intruz stanął na podłodze. - Nie przypuszczałem, że

korzystasz z tego pokoju. Chciałem sprawdzić, czy zdołam zakraść się i zniknąć nie zauważony. Nie wiedziałem, że masz gościa.

A.J. uśmiechnęła się niepewnie. Tylko serce wciąż jeszcze jak oszalałe tłukło się jej w piersi. A Boyd uniósł dłoń i zasalutował, odwzajemniając uśmiech.

- Cześć! - powiedział. - Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem. Gabe rzadko zaprasza tu przyjaciół. Prawdę mówiąc, nigdy ich nie gościł. Nawet nie wiem, czy w ogóle ma jakichś kumpli.

- Zamknij się, Boyd. - Gabe podszedł do A.J. - Nic ci nie jest? Przepraszam cię za to. Nie ma powodów do obaw. On jest... nieprawdopodobnie dziwny.

- Dziwny - powtórzyła A.J. niepewnie.

- Oryginalny! - poprawił Boyd. - Obawiam się, że Gabe myli moją oryginalność z dziwactwem. Ale to się często zdarza.

Gabe łagodnie położył dłoń na ramieniu A.J., a ona mrugała nerwowo powiekami, jakby nie mogąc obudzić się ze złego snu. Na widok pełnych łęku, brązowych oczu Gabe poczuł gwałtowny ucisk w sercu.

- Jak już powiedziałem, Boyd jest dziwny. Jeśli będziemy go ignorować, na pewno zaraz sobie pójdzie.

- Wiem, że to nie moja sprawa - A.J. nerwowo otuliła się okrywającym ją kocem - ale dlaczego on zakrada się do ciebie?

- Boyd, czemu zakradasz się do mnie? - Gabe westchnął.

- Ćwiczę - odparł Boyd z miną niewiniątka. -

Trzeba włożyć mokasyny, tak miękkie jak moje - podsunął Gabe'owi pod nos wielką stopę - i krążyć po lesie na palcach. Cichutko jak Indianin. Po niedługim czasie, jeśli będziesz ćwiczył sumiennie, możesz podejść każdego - dzikie zwierzę, zbiega czy podstępnych skautów. Jestem jeszcze nowicjuszem. Muszę bez przerwy trenować. A ty, Gabe, masz pecha. Jesteś w tej okolicy jedynym człowiekiem, którego mogę podchodzić. Nie można skradać się tam, gdzie nikogo nie ma, a ty jesteś moim najbliższym sąsiadem.

Gabe przymknął oczy. Jak to się stało, że dzień, który zaczął się tak pięknie, zamienił się w taki koszmar?

Otworzył oczy i spostrzegł, że wciąż trzyma dłoń na ramieniu A.J. Przez cienki jedwab czuł ciepło jej ciała. Cofnął się gwałtownie i odrobinę za głośno powiedział:

- Śmiertelnie ją wystraszyłeś, włączając tu przez okno. Nie obchodzi mnie, jak bardzo jesteś oryginalny, Boyd. Następnym razem skorzystaj z drzwi!

- To nie wchodzi w grę - odparł Boyd, ignorując gniew gospodarza. Usiadł na drewnianej skrzyni pod ścianą, pochylił głowę i uśmiechnął się do A.J. - Jak się masz? Nie zostaliśmy sobie przedstawieni, a Gabe Coulter zbytnio zdziczał, by zwracać uwagę na konwenanse. Nazywam się Boyd Berrenger. Jestem właścicielem dwudziestoakrowej posiadłości na zachodnim brzegu zbiornika Soldier Creek. A ty jesteś...?

A.J. i Gabe wymienili spojrzenia.

- Ona przyjechała do mnie na dzień czy dwa - powiedział Gabe.

- A więc jesteś przyjaciółką Gabe'a? - spytał Boyd

wyraźnie zdziwiony. - Zdumiewające - ciągnął, nie zwracając uwagi na groźne spojrzenia Gabe'a. - Jeśli o te sprawy chodzi, Coulter znany jest powszechnie jako zatwardziały samotnik. Nie wygląda na to, byś pochodziła z Salt Lake City, prawda?

- Czemu tak sądzisz? - spytała A.J. cicho.

- Mógłbym przysiąc, że już cię gdzieś kiedyś widziałem. - Boyd w zamyśleniu pocierał brodę. - Choć tak naprawdę nigdy nie wyjeżdżałem poza Utah i Kolorado. Zanim przeprowadziłem się tutaj, pracowałem jako meteorolog w stacji telewizyjnej „KZTV News” w Salt Lake City. Czy mogliśmy spotkać się już kiedyś?

„Mógłbym przysiąc, że już cię gdzieś kiedyś widziałem”.

A.J. wpatrywała się w Boyda, bojąc się poruszyć. Nie chciała spłoszyć tej ulotnej myśli, która mogła przynieść wyjaśnienie.

- Nie możesz sobie przypomnieć? - wykrztusiła, czując ucisk w gardle. - Nie możesz przypomnieć sobie czegokolwiek na mój temat?

- Wiesz... jakoś nie. - Boyd zaniepokojony przyglądał się jej pobladłej twarzy. - Nie bierz tego do siebie. Nie mam pamięci do nazwisk. Czy pracowaliśmy razem? Gdybyś pomogła mi choć trochę, na pewno zdołałbym przypomnieć sobie...

- Ona nie może ci pomóc! - przerwał Gabe, potrząsając gwałtownie głową. - Nie przejmuj się, Boyd. Mógłbyś być bratem jej najbliższej przyjaciółki, a ona i tak nie pamiętałaby cię.

- Mnie nie zapomina się tak łatwo - burknął Boyd z oburzeniem. - Widzę, że nie jesteś w humorze. Może gdybyś spróbował uspokoić się trochę...

- Jestem bardzo spokojny - rzekł Gabe cicho. - Goście zwalają mi się dzisiaj dosłownie drzwiami i oknami. Ale skoro już tu jesteś, spróbuj przypomnieć sobie, gdzie przedtem widziałeś A.J. To ważne! Każda informacja może jej pomóc.

- Ludzie! Dajcie spokój. To nie ma najmniejszego sensu. - Z rozpaczliwym westchnieniem Boyd oparł się o ścianę. Nagle nowa myśl przyszła mu do głowy. - Zaraz. Ta rana na jej głowie... Czy ona miała jakiś wypadek? Wypadek, który odebrał jej pamięć? Czy to coś w rodzaju... amnezji?

- Czemu mnie o to nie spytasz? - rzuciła A.J. z irytacją. - Wszyscy sądzą, że skoro straciłam pamięć, przestałam też umieć mówić. Tak. Przypuszczam, że miałam wypadek. Musiało tak być. Oprzytomniałam dziś rano pod piknikowym stołem w leśnej głuszy. Miałam potworny ból głowy i atakowały mnie wiewiórki. To wszystko, co wiem. Absolutnie.

- Nie miałaś przy sobie żadnych dokumentów?

- Tylko litery A i J wyhaftowane na apaszcze. Nic więcej.

- Biedactwo. - Boyd gwizdnał cichutko. - Amnezja. Stół piknikowy. Wiewiórki. Ale wycieczka! Jak znalazłaś Gabe'a?

- To pan Coulter mnie znalazł. Łowił ryby. Raczej miał zamiar łowić. I to... już... wszystko.

Załkała. Wystraszonym wzrokiem powiodła doko-

ła. Wszystko było przerażająco obce. Zieleń drzew za każdym oknem. Siedzący na skrzyni pod ścianą meteorolog-tropiciel. Rozdrażniony rybak-samotnik. Obrazy przedstawiające dzikie zwierzęta na ścianach. Nie. Nie. Na pewno nie. Czuła każdym nerwem, że nigdy nie należała do takiego świata i mieszkała w miejscu bardziej... cywilizowanym.

Przerażenie, które nie opuszczało jej od rana, здаwało się przeradzać w histerię. Pociągnęła nosem. I nagle ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się. Ogromne łzy kapały na łóżko. Cała dygotała. Czuła się taka zagubiona, udęczona i samotna. To nie było w porządku. Kimkolwiek była wcześniej, cokolwiek kiedyś zrobiła, na pewno nie zasłużyła na to wszystko. Zaczęła walić pięściami w materac, jakby to były wieiórki. Nie mogła się powstrzymać.

- Niedobrze. - Boyd uniósł się trochę i usiadł z powrotem na skrzyni. Rzucił Gabe'owi surowe spojrzenie. - To nie jest dobre dla kogoś w jej stanie. Zrób coś.

Gabe czuł się tak, jakby ktoś zdzielił go pięścią w brzuch. Nigdy jeszcze nie widział kogoś płaczącego tak strasznie, z takim zapamiętaniem. Bał się, że jeśli spróbuje uspokajać A.J., weźmie ją w ramiona, dziewczyna rozklei się całkowicie.

- Uspokój się natychmiast - powiedział surowo, zwracając się do zapłakanej kupki nieszczęścia na łóżku. - To w niczym nie pomoże. Musisz zaraz przestać.

Dotknął jej włosów, lecz ona odsunęła się gwałtownie.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęła. - Nie zniosę tego dłużej. Chcę wiedzieć, kim jestem. Muszę wrócić do domu.

- Wrócisz. Na pewno - powiedział Boyd serdecznie. A że był dobrym chłopcem, dodał:

- Wcześniej czy później. Zobaczysz.

A.J. wtuliła twarz w poduszkę i znowu zaczęła rozdzierająco szlochać.

- Wiem, co może poprawić ci samopoczucie - powiedział Gabe, kładąc ostrożnie dłoń na jej ramieniu.

- Gorący prysznic. Łazienka jest w korytarzu, na prawo. Ja w tym czasie znajdę ci jakieś czyste ubranie i zostawię tutaj, na łóżku. - Zamilkł niepewny, czy w ogóle go usłyszała. Potrząsnął nią delikatnie. - A.J.? Czy nie poczułabyś się lepiej, gdybyś się wykąpała?

- Myślę... że... tak - powiedziała z twarzą wtuloną w poduszkę, wciąż wstrząsana łkaniem.

- No, to świetnie. - Gabe rzucił Boydowi tryumfalne spojrzenie. - Zostawimy cię teraz na kilka minut. Przygotuję obiad, a Boyd... Boyd pójdzie do domu.

- Nie. Myślę, że raczej zostanę - powiedział Boyd z niezmaconym spokojem. - Pomogę ci przygotować obiad. Chciałbym upewnić się, że z A.J. wszystko w porządku. Poza tym jestem głodny. Mam nadzieję, że nie upieczesz znowu ryby?

Gabe poklepał delikatnie ramię A.J., nakazując jednocześnie wzrokiem Boydowi, by wyszedł z sypialni.

- Odpocznij teraz. Uspokój się - przemawiał do niej łagodnie. - Będziemy opiekować się tobą. Wszy-

stko się dobrze ułoży. Gdy wykapiesz się, przyjdź do kuchni. Będziemy czekać. Dobrze, A.J.?

- Dobrze - wyrzekła przez łyżę.

Gabe cicho zamknął za sobą drzwi i zabrał stojącego za nimi Boyda do kuchni. Po drodze wysłuchał historii jego praprababki, która straciła pamięć, gdy w wieku osiemdziesięciu jeden lat spadła z łóżka. Zamknął oczy i westchnął ciężko. Poczłł się nagle ogromnie zmęczony.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Łazienka była wyjątkowo maleńka. A.J. znowu poczuła, że nie nawykła w przeszłości do takiego stylu życia. Nie była przyzwyczajona do tego, by przy myciu głowy objąć sobie łokcie o ściany. Brakowało jej też miejsca, gdzie mogłaby porozwieszać upraną w maleńkiej umywalce bieliznę i ubranie. W rezultacie musiała użyć do tego celu kranów, rury od prysznic i gwoździa wbitego w drzwi. Calutkie pomieszczenie zapełnił mokry jedwab.

Ubrana w wielki aksamitny szlafrok przeszła do sypialni. Ciężkie poły ciągnęły się za nią po podłodze jak królewski tren. W sypialni leżał na łóżku równie obszerny dres, uszyty z grubej, granatowej białej. Znalazła tam także parę wełnianych szarych skarpet. Wszystko było ogromne, o wiele na nią za duże. Na szczęście obok leżała duża, służąca do spinania pieluszek agrafka. Poupinała jakoś bluzę i spodnie i stanęła przed lustrem. Mokre włosy prostymi strąkami opadały na ramiona, oczy wciąż miała podpuchnięte, a wargi nadal drżały. To co zobaczyła, godne było pożalowania. Nie powinna w ogóle pokazywać się ludziom. Ale nie miała wyboru. Po prostu była głodna jak wilk.

Idąc za zapachem smażonej ryby, przeszła przez

korytarz i zatrzymała się przed drzwiami do kuchni. Grube wełniane skarpety sprawiły, że poruszała się po sosnowych deskach podłogi zupełnie bezszelestnie.

- Nie, to na pewno nie było w pracy - mówił Boyd, szperający w lodówce. Gabe, odwrócony tyłem do drzwi, kroił sałatę i pomidory. - Wierz mi, zawsze zwracam uwagę na ładne blondynki. Zapamiętałbym, gdyby taka dziewczyna jak A.J. pracowała ze mną w telewizji. Dlaczego nie masz piwa? Napiłbym się chętnie.

- Ponieważ nie pijam piwa.

- Na czym skończyłem? Ach tak. - Boyd wyjął z lodówki puszkę soku owocowego i podszedł do stołu. - Wszystko to strasznie mnie dziwi. Wiem na pewno, że już ją widziałem, ale nie pamiętam, kiedy ani gdzie.

- Czy to było teraz, niedawno? Czy dziesięć lat temu, na studiach? - Gabe był wyraźnie zdenerwowany.

- Daj spokój. Kiedy ja byłem na studiach, A.J. chodziła chyba jeszcze do szkoły podstawowej. Poczekaj trochę. Przypomnę sobie. Zauważyłeś, że ten stół kiwa się, kiedy się na nim ktoś oprze?

- To się nie opieraj - burknął Gabe.

- No wiesz... jeśli masz szklanek pełną soku pomarańczowego i usiądziesz przy stole, by porozmawiać z kimś siedzącym z drugiej strony, i ten ktoś oprze się o blat, będziesz miał kolana polane sokiem.

- Nie pijam soku pomarańczowego i zwykle nikt nie siedzi z drugiej strony stołu.

- Powinieneś wziąć się za siebie. Zupełnie brak ci obycia.

- Gdyby nikt się tu nie kręcił, zachowywałbym się bez zarzutu - mruknął Gabe, krojąc zapamiętałe pomidory.

Kątem oka Boyd dostrzegł stojącą w drzwiach A.J. Drgnął gwałtownie i rzucił Gabe'owi ostrzegawcze spojrzenie.

- Czekaliśmy na ciebie, A.J. - wykrzyknął. - Gabe smaży właśnie pstraga. Niespodzianka, niespodzianka! Do twarzy ci w błękicie, wiesz?

- Boyd - powiedziała A.J. cichutko, nie odrywając oczu od Gabe'a - jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym porozmawiać z panem Coulterem na osobności.

- Przewiduję nadciągający front burzowy. Za te brązowe oczy. - Boyd uniósł w jej stronę puszkę, wznosząc toast. - Gdybyście mnie szukali, będę w salonie.

Gabe upuścił nóż na stół. Może po to, by nie wbić go w plecy wychodzącego z kuchni Boyda. Spojrzał na zaciśnięte pięstki wystające ze zbyt długich rękawów jego bluzy i uśmiechnął się niepewnie.

- Mam nadzieję, że nie zrozumiałaś źle tego, co...

- Niczego nie zrozumiałam źle, panie Coulter! - rzekła lodowatym tonem. Podeszła do stołu i pukając Gabe'a palcem w pierś, powiedziała:

- Nie wiem, jak długo pan żyje tutaj wśród wieiórek, panie Coulter, ale pańskie maniery pozostawiają wiele do życzenia. Bardzo mi przykro, że moja

obecność ciąży panu tak bardzo. Mnie również nie jest łatwo. Nie wiem, kim jestem i skąd się tu wzięłam, ale nie mam wątpliwości, że nie umiem przyjmować jałmużny. Zwłaszcza udzielanej niechętnie. Kiedy doktor Hornbaker przyjedzie tu jutro, wyjadę z nim. Pańskie męki skończą się wkrótce. Wytrzyma pan chyba jeszcze kilka godzin, panie Coulter?

Gabe nie mógł wykrztusić ani słowa. Przyglądał się A.J., zastanawiając się, czemu nie wstąpiła do wojska. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale tylko machnął ręką. Niewątpliwą zaletą życia w samotności było to, że człowiek w takiej sytuacji zawsze miał rację.

- Wydaje mi się... - zamilkł i odchrząknął - .. że powinienem cię przeprosić.

- To raczej tobie należą się przeprosiny. Wyraziłeś to całkiem jasno.

- Nie ułatwiasz mi niczego, prawda? - Ich spojrzenia się spotkały. - Bardzo przepraszam, jeśli brakło mi... obycia. Chyba trochę... zdziczałem przez ostatnie lata.

- Mówisz poważnie? - Otworzyła szeroko oczy.

- Posłuchaj - rzekł ponuro. - Mimo wszystko chcę ci pomóc, jak tylko potrafię. Ta sytuacja nie będzie trwać wiecznie. Dla nas obojga.

Z jakiegoś powodu A.J. spojrzała na jego ręce. Stał przed nią wyprostowany, przemawiał zdecydowanym głosem, ale jego ręce... One go zdradzały. Tarł nimi nerwowo o dżinsy jak... uczeń na pierwszej randce. Jej obecność denerwowała go, deprymowała. To było

widać całkiem wyraźnie. Ale nie dlatego, że zakłócała jego samotność.

- Boisz się - powiedziała.

- Boję się ciebie? - Drgnął jak oparzony. - Cze-
muż, u diabła, miałbym się ciebie bać?

- Bo jestem kobietą - rzekła cicho. - Na tym po-
lega twój problem, prawda? Zagrzebałeś się tutaj,
stworzyłeś sobie własne królestwo, aż tu nagle stanąłeś
twarzą w twarz z żywą kobietą. I wpadłeś w panikę...

- Akurat!

- Nie masz się czego wstydzić. Po prostu trochę
wyszedłeś z wprawy. Nie wstydz się. Po tak długiej
samotności to zupełnie naturalne. Spokojnie. Spróbuj
zapomnieć, że jestem kobietą, a może poczujesz się
bardziej... aktywny.

- Aktywny? - spytał miękko. - Powiedziałaś:
aktywny?

- Zapomnij o tym. - Z przestachem pomyślała, że
chyba trochę się zagalopowała. - Próbuję tylko cię
uspokoić.

- Jak to miło.

Wpatrywał się w nią. Trwało to dość długo. W koń-
cu uniósł rękę i ostrożnie przesunął palcami wzdłuż
jej szyi. Uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Ponury stary pustelnik potrzebuje pomocy. To nie
jest to samo, co jazda na rowerze.

- Co nie jest jazdą na rowerze? - szepnęła słabo.
Był blisko. Tak blisko, że czuła jego oddech na swoich
wargach.

Z tej odległości wydawał się bardzo aktywny.

- Och, wiesz - westchnął. - Te wszystkie sprawy... rozmawianie z kobietą, flirtowanie. Zupełnie wyszedłem z wprawy. - Pogłaskał ją po policzku. - Musisz być cierpliwa, A.J. Tak długo żyłem samotnie, że nie mam pojęcia, jak...

- Wystarczy - przerwała mu gwałtownie. Poczowała nagle, że pod wpływem tych rozjaśnionych uśmiechem oczu i delikatnego dotyku oblewa ją żar, a kolana słabną i miękną. - Udowodniłeś, że kiedy masz swój dobry dzień, jesteś bardzo aktywny.

- Kiedy mam swój dobry dzień?

Stał przed nią zmieszany. Nie tym jednak, co powiedziała, lecz pożądaniem, które drzemało w nim od tak dawna, a teraz opanowało go całkowicie. Doskonale wiedział, że potrafi być aktywny...

Ale nie mógł wykorzystywać sytuacji. Może kiepski był z niego wybawca, ale jedyny, jaki jej się trafił. Być może stracił wiele, ale wciąż był człowiekiem.

Miał nadzieję.

Odwrócił się tak gwałtownie, że A.J. aż drgnęła.

- Myślę, że pora coś zjeść - powiedział. - Póki jeszcze mam apetyt. Boyd!

W mgnieniu oka uśmiechnięty Boyd stanął na progu kuchni.

- Pan mnie wzywał, łaskawy panie?

- Obiad - powiedział Gabe. - Wejdz i siadaj.

Lecz Boyd zwlekał z przekroczeniem progu.

- Nie chciałbym przerywać wam tej konfrontacji... to znaczy konferencji. Czy już całkiem zerwaliście ze sobą?

Gabe spojrział na A.J. przez ramię. Przygryzła wargę, nie mogąc powstrzymać łomotania serca. Żadne z nich nie odpowiedziało na pytanie.

A.J. nie lubiła smażonych pstrągów.

Ziemniaki były smaczne, choć trochę nie dogotowane. Sałatka pyszna. Ale ryba wyglądała, pachniała i smakowała jak... ryba. A.J. wiedziała już ponad wszelką wątpliwość, że gdyby pamiętała swoje ulubione potrawy, na pewno nie byłoby wśród nich dań rybnych.

- Niewiele zjadłaś - zauważył Gabe. - Nie smakuje ci obiad?

- Skądże. Wszystko jest pyszne. Zwłaszcza sałatka. A ziemniaki były wyborne.

- A ryba?

- Też, oczywiście.

- Czy ktoś chce wody? - spytał Boyd szybko. - Nie? Trudno. Woda ułatwia trawienie. Coś wam powiem. Samotne życie na odludziu to wielka próba. Nigdy przedtem nie byłem taki szczęśliwy. Praca meteorologa w KZTV nigdy nie dostarczyła mi tylu emocji co tropienie jelenia czy zastawianie sideł na przepiórki. I tyle radości. W pełni samodzielne życie... oto, co daje mi największą satysfakcję.

- Boyd. - Gabe spojrział nań z niesmakiem. - Przecież ty nigdy w życiu nie zabiłeś przepiórki. Co miesiąc jeździsz do Ophir i kupujesz mrożone kurczaki.

- Ale mógłbym budować pułapki i łowić przepiór-

ki - odparł Boyd nie zrażony. - Nie ma sensu polowanie i zabijanie żywych istot, dopóki nie jest to absolutnie konieczne. W końcu przepiórki też chcą żyć. Po co niepotrzebnie rozbijać ptasią rodzinę? Najważniejsze, że wiem, iż mam umiejętności, które pozwolą mi przetrwać wielką katastrofę.

- Wielką katastrofę? Jaka? - Spoglądała na nich zdezorientowana.

- Żadną. - Gabe czuł na sobie pytające spojrzenie brązowych oczu i zastanawiał się, czy A.J. w ogóle mruga nimi kiedykolwiek. - Nie traktuj tego poważnie. Boyd najlepiej czuje się, oczekując najgorszego. Jego telewizyjne prognozy pogody zawsze były strasznie złowieszcze. On uważa, że świat stoi w obliczu wielkich powodzi, trzęsień ziemi i suszy. Niestety, ludzie z KZTV nie podzielali jego punktu widzenia i zabronili mu wygłaszania tych przepowiedni na antenie.

- Powiedziałem im, co o nich myślę - Boyd mrugnął do A.J. - i odszedłem. Nie dano mi przestrzec ludzkości, ale mogę przynajmniej przygotować samego siebie. Kupiłem więc mnóstwo poradników i podręczników dotyczących sztuki przetrwania, sprzedałem mieszkanie i przeniósłem się tutaj. Na razie mieszkam w przyczepie kempingowej, ale zamierzam zbudować chatę. To było naprawdę najmądrzejsze posunięcie w moim życiu.

A.J. uśmiechała się nerwowo. Nie była całkiem pewna, czy meteorolog jest jeszcze przy zdrowych zmysłach.

- To rzeczywiście mądra decyzja. Czy wiesz, kiedy... to... nastąpi?

- W ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat - powiedział Boyd bardzo poważnie. - Najpierw będzie wielkie trzęsienie ziemi, potem ogromna powódź zaleje kontynenty. Później przyjdzie wielka susza. Wcale nie wiem, czy ziemia w ogóle przetrwa to wszystko, pozostając w jednym kawałku. Czeka nas wspaniała przygoda. Za nic nie mogę jej stracić. Wiesz, na tym polega różnica między Gabe'em i mną. On przyjechał tutaj, by uciec od życia, ja jestem szczęśliwy, odnajdując jego korzenie. Uważam, że to ja mam dzięki ucieczce od cywilizacji więcej przyjemności i radości.

- Bardzo panu dziękujemy - Gabe wstał i zaczął gwałtownie zbierać talerze. Był zaniepokojony i zły na siebie. Przecież miał już czterdzieści lat. Jak mogło dojść do tego, że brązowooka dziewczyna i gadatliwy meteorolog tak łatwo wyprowadzili go z równowagi. Jeszcze wczoraj gotów był przysiąc, że jest twardy jak skała.

Może nie powinien był przeprowadzać się w góry. Trzeba było kupić jacht i popłynąć na Karaiby. Nie trafiają się nieproszeni goście, gdy mieszkasz na jachcie. Zwłaszcza podczas rejsu po oceanie.

Ani prześliczne, pozbawione pamięci dziewczyny.

- Stłukłeś talerz - powiedziała A.J., zastanawiając się, co go ugryzło. - Naprawdę nie powinienś tak rzucać zastawą.

Gabe spojrzał na jej delikatne, białe dłonie, na dłu-

gie wypielegnowane paznokcie i pomyślał, że te ręce na pewno nigdy nie musiały pracować.

- Ty jesteś, oczywiście, specjalistką od zmywania talerzy - rzucił. - Proszę bardzo, możesz mi pomóc.

- Dobrze. Świetnie - podjęła wyzwanie. - Czemu nie? Mówisz, jakbyś myślał, że nie potrafię uruchomić zmywarki.

- Niespodzianka! - odparł Gabe. - Nie mam zmywarki. Niestety, robię to bardziej prymitywnym sposobem... Ręcznie.

Ręcznie! A.J. rozejrzała się po kuchni i już wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że nigdy w życiu nie zmywała naczyń.

- Boyd i ja chętnie ci pomożemy - nutka irytacji zabrzmiała w jej głosie. - Tak przynajmniej możemy zrewanżować się za twą gościnność, prawda, Boyd?

- Oczywiście - powiedział Boyd, wstając. Pracowicie strzepywał okruszki ze swego kombinezonu.

- Niestety, czeka mnie jeszcze pięciokilometrowy marsz do mojego auta, więc muszę już iść. Gabe, nie było dla mnie żadnych przesyłek?

- Są tam, na skrzyni - rzucił Gabe. - Trzy brukowce i numer „Sports Illustrated” poświęcony kostiumom kąpielowym. Jak na człowieka, który chce pokonać dziką przyrodę, zamawiasz bardzo dziwny zestaw czasopism.

- Nie tak łatwo wyrwać się z macek cywilizacji - powiedział Boyd z niewzruszonym spokojem. -

Świetnie się składa, że wóz pocztowy dociera tak daleko, prawda? Gdyby nie to, musiałbym jeździć po przesyłki do miasta.

- Nie chcielibyśmy tego. - Gabe odkręcił kran. - A ja nie miałbym przyjemności...

Nagły łoskot za plecami przerwał mu w pół słowa. Obrócił głowę i przez ramię spojrzął na A.J. Zagryzając wargi, spoglądała na trzy rozbite szklanki leżące u jej stóp.

- Dziwna rzecz - wymamrotała. - Po prostu wyśliznęły mi się z rąk.

- Cuda się zdarzają. - Gabe uśmiechnął się krzywo. - Zwłaszcza dzisiaj.

- Nie przeszkadzajcie sobie. Zobaczę, czy nie ma mnie na dworze. - Boyd ruszył ku drzwiom, stąpając cicho jak tropiciel. - Bez wątpienia spędzicie przyjemny wieczór na uroczej pogawędce. Bawcie się dobrze. Jeśli mi się przypomni coś istotnego, dam ci znać, A.J. Moim zdaniem jesteś amerykańską kuzynką księżnej Diany. Masz taki sam rasowy wygląd. Żegnaj wszystkich!

W kuchni zrobiło się cicho. A.J. rzuciła spod rzęs zaleknione spojrzenie w stronę Gabe'a i dojrzała... przestraszona w jego wzroku.

Znów sami, pomyślała. I ta myśl odebrała jej spokój. Nie, nie bała się Gabe'a. Lecz z każdą chwilą czuła wyraźniej łomotanie swego serca.

- Pozbieram szkło. - Gabe odezwał się pierwszy. - Miałaś ciężki dzień. Powinnaś pójść do łóżka. Odpocząć.

- Przespałam całe popołudnie. - Kucnęła i zaczęła zbierać do serwetki kawałki szkła. - Naprawdę bardzo mi przykro. Chciałabym powiedzieć, że nie zawsze jestem taka niezgrabna, ale wcale nie jestem tego pewna. Gdzie masz kosz na śmieci?

- Pod zlewem. Ale nie ma potrzeby...

- Chcę ci pomóc. W końcu tylko tyle mogę zrobić.

Pozmywał naczynia, a ona tymczasem zebrała szkło i zamiotła podłogę. Kiedy skończyła sprzątanie, Gabe właśnie wycierał ręce. Podniósł głowę i spojrzał na nią. Jej drobne ciało ginęło w workowatych zwojach, wełniane skarpety rolowały się wokół kostek. Poczul nieodparte pożądanie. Wstyd i pragnienie. W takiej właśnie kolejności. Mądry mężczyzna na jego miejscu natychmiast poszedłby prosto do jeziora i brodził w nim tak długo, aż odzyskałby równowagę ducha.

A tak naprawdę, mądry mężczyzna nigdy nie znalazłby się w takiej sytuacji.

- Możemy posiedzieć w salonie - zaproponował, gdy poczuł, że musi powiedzieć cokolwiek. - Rozpałiłem ogień w kominku.

- Nie musisz mnie zabawiać.

- Mam zamiar siedzieć przed kominkiem, a nie śpiewać i tańczyć. Rad będę, gdy przyłączysz się do mnie.

- Dobrze. - Spojrzała na niego, zupełnie zbita z tropu. - Na chwilę.

Gdy przeszli do salonu, usiedli na przeciwnych końcach kanapy. Ogień trzaskał cichutko. Dawał cie-

płó. A.J westchnęła ciężko. Próbowwała otrząsnąć się z ogarniającej ją bezgranicznej bezsilności.

- Nie myśl o tym wszystkim - powiedział, patrząc w ogień. - Usiądź wygodnie. Rozkoszuj się chwilą spokoju.

- Chyba nie umiem tak po prostu siedzieć.

Skrzyżowała nogi i znowu je rozprostowała. Próbowwała nie patrzeć na Gabe'a, ale było to prawie niemożliwe. W panującej w salonie ciszy, wśród chwiejących się na ścianach cieni Gabe przyciągał ją jak magnes. Drżące pod białą tkaniną podkoszulka mięśnie, muskularne uda, długie brązowe włosy... Był uosobieniem męskości. Fascynował i kusił.

- Był taki czas w moim życiu - odezwał się nagle - kiedy nie umiałem pięciu minut usiedzieć spokojnie. Niemal zapomniałem o spaniu. I nie zdawałem sobie sprawy, ile tracę, nie potrafiąc spokojnie posiedzieć przy płonącym ogniu.

A.J. podwinęła nogi i rozsiadła się wygodniej.

- Nie czujesz się czasem samotny?

- Nie.

Aż do dziś, pomyślał.

- Przywykłem do tego miejsca - ciągnął, jakby usprawiedliwiając się. - Mam tu wszystko, czego potrzebuję. Po prostu.

- I co wieczór... siedzisz przed kominkiem?

- Nie. Czasem idę popracować w drwalni. Dużo czytam. Opracowuję topograficzną mapę tych stron. Zawsze mam coś do zrobienia.

Trudno było to sobie wyobrazić. Był na pewno

bardzo inteligentnym człowiekiem. Pieczołowicie strzegł swej prywatności. Wiódł pustelnicze życie, ale A.J. wyczuwała bez trudu, że nie zawsze tak było. Nawet teraz odbierała całym ciałem drżącą w nim energię, którą starał się ze wszystkich sił kontrolować.

- Naprawdę nigdy nie pragnąłeś czegoś więcej?
- Co masz na myśli? - Spojrzał na nią nie widzącym wzrokiem.
- No, wiesz... myślałam o... pewnych sprawach.
- O czym?
- O pewnych sprawach. Po prostu nie mogę zrozumieć, że mężczyzna w twoim wieku może spędzać tyle czasu samotnie. Większość ludzi potrzebuje towarzystwa, rozmów, jakiejś podniety intelektualnej. Cemu ty miałbyś być inny?

Wzruszył ramionami i znów odwrócił twarz do ognia.

- Każdy potrzebuje czegoś innego. Ja dużo bardziej cenię sobie ciszę i spokój tych gór niż śmieci i odpadki cywilizacji.
- Gdzie mieszkałeś przedtem?
- Na Florydzie. W Palm Beach - odrzekł.
- Co tam robiłeś? Gdzie pracowałeś?

Spojrzał na półeczkę nad kominkiem. Pośród figurnek i bibelotów stała tam zakurzona, zapieczętowana butelka bourbona. Zacisnął na chwilę wargi, a potem spojrzał na A.J.

- Pytanie za pytaniem. Wiemy przynajmniej, że na pewno nigdy nie brakowało ci elokwencji i dociekliwości. Może pracowałeś jako reporterka w „Weekly Inquisitor”?

„Weekly Inquisitor”. Na sam dźwięk tytułu tego popularnego tygodnika mrówki przebiegły jej po plecach. Wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że gardziła głęboko owym czasopismem oraz wszystkim, co się z nim wiązało. Niestety, nie mogła sobie przypomnieć, czemu.

Westchnęła głęboko.

- Chcę wiedzieć... cokolwiek. Miewam tylko przebłyski uczuć, odczuć. To wszystko. Nic konkretnego. A jeśli nigdy nie odzyskam pamięci? Co mam wtedy zrobić? A może jestem poszukiwaną przestępczynią i rozesłano po całym kraju moje fotografie, listy gończe? Nie obawiasz się, że spędzisz tę noc z niebezpieczną zbrodniarką?

Przesunął dłońią po twarzy. Och, tak, była niebezpieczna. Zdruzgotała mu serce milionem wspomnień, które obudziła swoim przybyciem. To może skończyć się jeszcze gorzej, niż sądził na początku.

- Zamknę na noc drzwi na klucz - powiedział z wysiłkiem.

- Może powinienieś wygonić mnie do lasu i rzucić wiewiórkom na pożarcie.

Spojrzał na nią przeciągle.

- Użalamy się nad sobą, prawda?

- Tak, panie Coulter, na to wygląda. - Pochyliła głowę. - Skamlemy jak pies.

- Potrzebujesz kilku lekcji etykiety kominkowej. Relaksowanie się wychodzi ci po prostu fatalnie. Wstań.

- Nie mogę relaksować się, stojąc.

- Wstań!

Przemawiając tonem, jakiego używa się Wobec dzieci, stawał się bardzo... onieśmielający. Wstała, a rękawy bluzy sięgały jej do kolan.

- Już stoję - powiedziała.

- Bardzo dobrze. Teraz usiądź - gestem wskazał podłogę przed sobą. - Tutaj. Plecami do mnie.

Przez stała niezdecydowana.

- Będiesz miał wyśmienitą okazję, żeby mnie udusić.

- To prawda. - Uśmiechnął się kpiąco. - Ale będę miał także doskonałą okazję, by wymasować ci kark i ramiona. Musisz przestać dręczyć się, choćby na pięć minut. Trzeba się rozluźnić, odprężyć. Wiesz, co powiedział doktor Hornbaker. Koniecznie musisz odpocząć, uspokoić się i pozwolić, by pamięć powróciła w sposób naturalny. Siadaj.

Wmawiając sobie, że robi to tylko dla jej dobra, kazał jej usiąść przed sobą po turecku z plecami opartymi o kanapę. Jego uda dotykały jej ramion. Czuła ich ciepło, była bezpieczna i spokojna. Po raz pierwszy tego dnia. Odgarnęła włosy z karku i zastygła w oczekiwaniu.

- Panie Coulter?

- Ummm.

Z przymkniętymi oczami chłonał słodki zapach skóry A.J., wsłuchiwał się w jej oddech. Czuł ją... tak blisko. Potrzebował tego. Pragnął. Zacisnął szczęki, ostrożnie położył dłonie na jej ramionach i zaczął je delikatnie masować.

- Tak jak myślałem - mruknął. - Jesteś cała napięta. Oddychaj głęboko.

Nie usłyszał jej odpowiedzi. Wpatrzony w kark A.J., widział swoje usta sunące po gładkiej skórze. Dłonie namiętnie masowały jej ramiona, lecz myśli opanowały marzenia. Widział jej nagie ciało, całował słodkie usta. A ona oddawała mu pocałunki. Namiętne, gorące...

- Panie Coulter?

- Tak? - Wrócił nagle z obłoków na ziemię.

- Co pan robi?

Piekło, szatani! Jakimś cudem jego dłonie wśliznęły się pod bluzę i objęły krągłe piersi. Opuszkami palców wyczuwał bicie jej serca. Pragnął trzymać ją w ramionach, lgnąć do jej ciepłego i gładkiego ciała.

- Już późno. Idź spać, A.J. - powiedział jednak, odsuwając rękę.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Czowała jeszcze dotyk jego dłoni. Oblizła wargi i powiedziała:

- Nie jestem śpiąca.

- Jesteś, jesteś - rzekł miękko.

Stanąła przed nim, trąc czoło.

- To było wspaniałe - szepnęła ledwo słyszalnie.

- Cieszę się, że masaż ci pomógł - odparł po chwili.

Westchnęła głęboko i odwróciła się.

- Nie miałam na myśli masażu. Dobranoc, panie Coulter.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rockowa muzyka?!

Dobry Boże, nie. Tylko nie to! Gabe ukrył głowę pod poduszką. Nie ma w jego królestwie miejsca na rockową muzykę. Tylko na śpiew ptaków i szum drzew. To musi być sen, koszmarny sen. Na pewno się skończy, gdy tylko Gabe otworzy oczy.

Nie skończył się.

Gabe usiadł na łóżku. Półprzytomny po gwałtownym przebudzeniu, sięgnął po leżący na szafce obok łóżka zegarek. Spojrzał na cyferblat. Ósma rano. Łomot elektrycznych gitar i cholernych bębnow o ósmej rano!

Nienawidził rockowej muzyki.

Odrzucona z gniewem kołdra wylądowała na środku pokoju. W biegu chwycił szlafrok. Ten dom, jego świątynia, oaza spokoju została sprofanowana, zbezczeszczona, zbrukana przez ryczącego potwora. Wstrętne monstrum, którego - jak sądził - pozbył się już ze swego życia na zawsze.

O ósmej rano. Głośna rockowa muzyka!

Król Gór Sawatch pragnął zemsty, żądał głowy zbrodniarza. Nawet jeśli winowajczynią była uroczą blondynka dotknięta amnezją.

Nie usłyszała, gdy wszedł do kuchni. Cały dom drżał w posadach od metalicznego hałasu. A.J. tańczyła przy piecu w takt muzyki płynącej ze stojącego na stole radia. Miała na sobie jego dżinsy podtrzymywane przewiazaną w pasie jedwabną chustką i jego ulubioną flanelową koszulę związaną z przodu w grubego węzeł. Włosy ściągnęła w koński ogon nitką dentystryczną.

Wyglądała absolutnie cudownie. Pięknie. Ponętnie. Była uosobieniem młodości, kobiecości i Gabe, zapartyżony w roztańczoną postać zapomniał niemal, co wyrwało go z łóżka. Stał z szeroko otwartymi oczami, a przez głowę przelatywały mu bolesne wspomnienia i pragnienia.

- Na pomoc - szepnął.

A.J. nie usłyszała go. Nie mogła. Ale wyczuła jego obecność. Odwróciła się gwałtownie, uśmiechnęła i powiedziała:

- Dzień dobry, panie Coulter. Usiłuję przygotować na śniadanie grzanki, ale udało mi się tylko uruchomić ten starożytny piecyk bez wysadzenia domu w powietrze. Nawet jeśli kiedyś potrafiłam obsługiwać piecyki gazowe, nic mi dziś o tym nie wiadomo.

Jej głos z trudem docierał do niego tłumiony przez głośną muzykę. Zamknął oczy i przez chwilę oddychał głęboko. Potem podszedł do radia i wyłączył je. Cisza, która nastała, zdawała się dźwięczeć jeszcze głośniej niż przedtem muzyka. Niemal pożałował, że wyłączył odbiornik.

- Nie wiedziałem, że mam radio - mruknął.

- Znalazłam je na najwyższej półce w szafie w moim pokoju. Może zostało po poprzednim właścicielu?

- Od dwóch lat nie słyszałem takiej muzyki. To były dwa wspaniałe lata...

- Och. Rozumiem. - Przygryzła wargi. - Nie lubisz muzyki.

- Wolę ciszę i spokój. Zwłaszcza wczesnym rankiem.

- Ale aż tyle ciszy i spokoju? To źle działa na nerwy. Nie umiem wyobrazić sobie, że po przebudzeniu otacza mnie śmiertelna cisza. Irytowałoby mnie to. Otwarłam rano okno i wiesz, co usłyszałam? Śpiew ptaków. Tylko ich odgłosy. To nie jest naturalne.

- Możesz mówić, że zwariowałem, ale uważam, że właśnie odgłosy przyrody są naturalne.

- Chyba nie jesteś rannym ptaszkiem, prawda? - Zabawnie zmarszczyła nos. - Albo wstałeś lewą nogą.

- Niezupełnie. Po prostu zwykle nie budzi mnie koncert rockowy.

- Chyba powinnam była nastawić radio trochę ciszszej. - Niepewnie przestąpiła z nogi na nogę.

- Z pewnością - odrzekł ironicznie.

Przyjrzała mu się uważnie, oceniając, w jakim jest humorze. W końcu rozchmurzyła się.

- Możesz wierzyć lub nie - rzekła z łobuzerskim uśmiechem tonem wiekowego mędrca - ale będzie ci mnie brakować, kiedy wyjadę. Twoje ulubione zajęcia nie dostarczą ci takiej rozrywki, jaką zapewni ci moja obecność w twoim domu.

Drażniła go, instynktownie wykorzystując swój urok. Potrafiła robić to i chyba miała doświadczenie w kokietowaniu mężczyzn. Nie wiedziała jednak, że tym razem naprawdę igra z ogniem.

Zacisnął szczęki. Musi wytrzymać. Nie był wszak niedoświadczonym żółtodziobem, lecz w pełni dojrzałym, dorosłym mężczyzną.

- Coś mi mówi, że czujesz się dzisiaj znacznie lepiej. - Uśmiechnął się lekko.

- Nawet nie wiesz, jak cudownie spałam tej nocy. A rano, kiedy się obudziłam... Aha, przy okazji, pożyczę ci moje ubranie, bo moje jeszcze nie wyschło. Nie masz nic przeciwko temu, prawda? O czym to ja... aha, kiedy wstałam dziś rano, coś sobie przypomniałam. Nagle otwarła mi się w mózgu jakaś klapka.

- Co? - szepnął przerażony.

- Uwielbiam grzanki. Najbardziej ze wszystkich potraw na świecie. Skoro to sobie przypomniałam, to może wygrzebię z pamięci coś jeszcze, jak myślisz?

- Tak właśnie powiedział doktor Hornbaker - wykrztusił. Poczł ucisk w gardle. Przecież czekał na to. Wszak oznaczało to powrót do ciszy i spokoju. Czemu więc patrzył na nią bez słowa? Była piękna. Uśmiechała się tak uroczo. Natychmiast w obu policzkach robiły się jej śliczne dołeczki. Cały dom pełen był jej ciepła i nieuchwytnego zapachu, który mieszał się z wonią letniego poranka. Życie, uczucia... wszystko pojawiło się nagle w jego samotni.

Po raz pierwszy od dwóch lat.

- A właśnie - powiedział po chwili. - Nasz doktor-pokerzysta obiecał przyjechać tu dziś rano. Lepiej się ubiorę.

- Powiedz mi tylko, gdzie są zapałki. Spróbuję tymczasem dalej poeksperymentować z piecykiem. To będzie bardzo pouczające doświadczenie.

- Nic z tego - zaprotestował. - Jeśli nie zauważyłaś dotąd, to ci powiem, że masz skłonność do powodowania wypadków, sprowadzania nieszczęść. Na samą myśl, że miałbym zostawić cię tutaj z piecykiem i zapałkami, ogarnia mnie przerażenie.

- Nie ma pan do mnie za grosz zaufania, panie Coulter.

- Prawo średniego wieku. Rozsądek. Idź, pobujaj się na huśtawce na werandzie. Posłuchaj nienaturalnych ptasich śpiewów. Śniadanie będzie za dwadzieścia minut.

- Nie chcę być nieużyteczna. Pragnę czuć się potrzebna, przydatna.

- Uwierz mi, będziesz niezwykle przydatna, nie wysadzając domu w powietrze. Poza tym - powiedział, otwierając drzwi na werandę - krótki relaks przed domem w piękny letni poranek bardzo ci się przyda. Jest niezwykle ważny dla zdrowia. Świetnie poprawia samopoczucie.

Jednak popełnił straszny błąd.

Przytrzymując otwarte drzwi zmusił ją, by przeszła tuż obok niego. Gdy otarła się o niego ramieniem i musnęła go włosami, zamarł. Każdym nerwem odczuł jej bliskość. Kiedy zatrzymała się w progu i z od-

ległości dwudziestu centymetrów przesłała mu kolejny zabójczy uśmiech, musiał mocno zagryźć wargi, by nie krzyknąć.

- Jeszcze jedno - odezwała się żartobliwie. - Skoro już spędziliśmy razem noc pod jednym dachem i jeśli obiecuję ci należny szacunek, to czy nie byłoby przyjemniej, gdybym mówiła do ciebie: Gabe, a nie: panie Coulter?

Wydało mu się, że świat zawirował. Nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. Nie potrafił nawet mrugnąć powiekami. Przytrzymał drzwi, marząc tylko o tym, by A.J. przestała patrzeć na niego. Nie odezwał się. Gdyby to zrobił, prawdopodobnie powiedziałby zbyt wiele. Stał bez słowa, a na jego twarzy, jak na wielkiej tablicy, malowały się targające nim uczucia. Jej cudowne rysy, wspaniałe, elektryzujące zmysły ciało, łagodny, słodki głos ujarzmiły go, opętały.

- Twardy z pana orzech do zgryzienia, panie Coulter - westchnęła zrezygnowana. - Na pewno nie był pan w przeszłości pedagogiem, prawda? Pamiętam mojego nauczyciela angielskiego. Nazywał się Denby-Smith. Sir Denby-Smith. Robił się cały czerwony, gdy tylko wydało mu się, że nie był traktowany z należytym...

Jej głos załamał się nagle. Z otwartymi ustami patrzyła prosto przed siebie. Schwyciła Gabe'a za poły szlafroka i krzyknęła:

- Słyszałeś? Słyszałeś, co powiedziałam? Przypomniałam sobie pana Denby-Smitha. Pamiętam klasę

w jakiejś szkole... nie wiem, gdzie... I tego człowieka mówiącego monotonnym, jednostajnym głosem... Pan Denby-Smith! Pamiętam go!

Zamilkła, by złapać oddech. W myślach pojawiały się jej oderwane obrazy. Wspomnienia. Potworna senność, jaka ogarniała ją w czasie lekcji angielskiego. Biała bluzka i czarna plisowana spódniczka.

- To była prywatna szkoła - powiedziała. - Chodziłam do prywatnej szkoły i nienawidziłam mundurka, który musiałam nosić. Pamiętam, jak siedziałam w tej okropnej, pod szyję zapiętej bluzce, godzinami wysłuchując gędzenia pana Denby-Smitha. Widzę jego twarz, jakby to wszystko działo się wczoraj.

To jest właśnie początek końca, pomyślał Gabe. Odzyska pamięć i odejdzie. Zostawi mnie!

- To wspaniale - rzekł głucho. - Powoli wszystko ci się przypomni. Tak jak powiedział doktor Hornbaker. Czy przypominasz sobie coś jeszcze?

- Nie... nic więcej. To, co sobie przypomniałam, widzę jasno i wyraźnie. Ale nie kojarzy mi się to z niczym więcej. Absolutna pustka. Nic.

- Nie próbuj niczego na siłę. - Potrzebowała jeszcze dużo ciepła i spokoju. Ufała mu i nie mógł jej zawieść. Łagodnie położył dłoń na jej plecach i przytknął oczy. - Pamięć odzyskasz niebawem. Bądź cierpliwa.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nie powiesz mi, że tak jak ja boisz się tego, że wróci mi pamięć, że przypomnę sobie wszystko...

Mruknął coś niezrozumiale. Nie wiedziała, że po-

żądał jej coraz bardziej, a wyobrażenia podsuwała mu podniecające obrazy. Był łotrem. Rozpustnikiem.

- Przepraszam cię bardzo. - Uniosła głowę i spojrziała mu prosto w twarz. - Przepraszam za wszystko. Wyjadę jeszcze dzisiaj i ten koszmar się skończy.

- Dzisiaj? - Z największym trudem zapanował nad sobą. Widział wyraźnie krągłość jej piersi. - Co znaczy: dzisiaj?

- Już ci powiedziałam. - Uśmiech zniknął z jej twarzy. - Wyjadę z doktorem Hornbakerem. Oboje wiemy, że nie chcesz mnie...

- Nie chcę ciebie? - Słowa same wyrwały mu się z ust. Ujął w dłonie jej buzię. - Chcę ciebie - szepnął.

Stali bez słowa, zapatrzeni w siebie. Ogarnęło ich nagle gwałtowne pożądanie. Pragnęli siebie wzajem. Nie odzywali się. Nie musieli. Moc targających nimi uczuć była tak wielka, że słowa były całkiem zbędne.

Wreszcie Gabe odsunął się i oparł o ścianę. A.J. stała bez ruchu.

- Panie Coulter - odezwała się tak cicho, jakby szeptała słowa modlitwy. Nie patrzyła na niego jak na nauczyciela języka angielskiego. Ani jak na twardy orzech do zgryzienia. Wydawało się, że wejrzała mu wprost do duszy i zamiast wilka odkryła tam zagubioną owieczkę. Pod spojrzeniem brązowych oczu przestał niemal odychać.

- Szlag by to trafił! - szepnął.

- Co? - Uniosła brwi. Ostrożnie dotknęła go drżą-

cymi palcami. - Mnie, panie Coulter? Czego się pan boi?

- Niczego. - Chwycił ją za rękę. - Zupełnie niczego.

Patrzyła na niego z zaciśniętymi ustami.

Po długiej chwili uwolniła rękę i cofnęła się. Serce tłukło się jej w piersi poruszone czymś... nowym, podniecającym. Czymś, co wyczytała także w jego oczach.

- Chyba zaczekam na zewnątrz - powiedziała.

Bał się odetchnąć, dopóki nie rozdzieliły ich zamknięte drzwi. Nie powinien był do tego dopuścić.

Ale stało się.

Zaklął i pobiegł pod zimny prysznic.

Słońce to wspaniała rzecz.

A.J. wygrzewała się w jego promieniach, siedząc na ustawionej na werandzie huśtawce. Bujała się z głową odchyloną do tyłu, nie zwracając uwagi na to, że z powodu nierównych nóg huśtawka chwieje się na boki. Było jej ciepło, dobrze. Robiła coś, czego - jak czuła - nie robiła nigdy przedtem. Relaksowała się. Łagodny wiatr niósł odurzający zapach sosen i kwiatów. Z wnętrza domu słyszała szum wody. Gabe brał prysznic.

Był nagi. Mokry.

Boże!

Wyobrażenia podsuwała jej coraz inne obrazy. Coś jednak przekonywało ją, że rzeczywistość mogłaby przyćmić wyobraźnię.

Otworzyła oczy, wzdychając cicho.

- Panie Coulter - szeptała, uśmiechając się do swoich myśli. - Ma pan najpiękniejsze niebieskie oczy. Chętnie zostałabym z panem na zawsze. To dziwne... Myślę, że jestem... szczęśliwa, pomyślała. I wiedziała na pewno, że nigdy przedtem nie była szczęśliwa naprawdę. Wszystko było tak nowe, świeże, tak zupełnie inne. Czuła się tak, jakby coś śpiącego dotąd w jej duszy obudziło się nagle i szeptało prosto do ucha: „To właśnie jest życie. Letni wiatr, ciemna zieleń lasu, słońce lśniące na niebie błękitnym jak oczy Gabe'a. To właśnie jest życie i to piękniejsze, niż kiedykolwiek sobie wyobrażałam”.

Podniosła się i weszła między drzewa. Szła wolno po miękkiej trawie, rozglądając się ciekawie. Chłoneła ten inny świat. Świat Gabe'a Coultera. Uśmiechnęła się, gdy pomyślała, że na pewno nie było jeszcze w jej życiu tak wspaniałego poranka.

Poczuła, że oto znalazła miejsce, które z radością nazwałaby domem. Uroku chwili dodawało wypełniająca ją wspaniałe przeświadczenie, iż czas nie liczy się zupełnie, że jest całkiem nieważny.

Przed domem rósł dąb. Rozpościerał szeroko potężne, majestatyczne konary, szczytem korony sięgając nieba. Najpiękniejsze i najpotężniejsze drzewo, jakie kiedykolwiek widziała. Wspaniałe. Idealne do wspinaczki... i do wybudowania nadrzewnego domu.

Dlaczego przyszło to jej do głowy? To śmieszne... dom na drzewie. Czy o tym właśnie marzyła przez całe życie? Oczyma wyobraźni widziała już jego

kształt. Wokół potężnego pnia masywna czworokątna platforma. A wejście - po drabinie. Coś fantastycznego.

- O czym myślisz?

Tak pochłonęły ją marzenia, że nie zauważyła, kiedy nadszedł Gabe. Odgarnął z twarzy wilgotne włosy i przyglądał się jej uważnie. Miał na sobie drelichową koszulę. Widać było, że prasował ją sam. Jak każdy mężczyzna, porobił drobne fałdki tu i tam. Twarz miał ponurą, jakby to, że wyszedł z domu tu, do niej, było skutkiem wewnętrznej walki, którą stoczył z samym sobą. Przegranej walki.

- Wpadłam na wspaniały pomysł - powiedziała.

- Na pewno ci się spodoba, zobaczysz.

- Czemu mam wrażenie - skrzywił się - że ciarki przechodzą mi po plecach?

Lecz A.J. nic już nie mogło powstrzymać.

- To drzewo, ten dąb, tam, aż się prosi o nadrzewny dom. Nie uważasz?

- Prosi się o co? - Zamrugał nerwowo powiekami.

- O dom na drzewie. No wiesz, taki, w jakim mieszkał Tarzan. Dziwię się, że sam na to nie wpadłeś. Zrobiłeś już przecież własnoręcznie tyle mebli... i w ogóle. Gdybyś chciał, na pewno mógłbyś zbudować coś tak wspaniałego. I nie musiałbyś martwić się o to, czy deski będą równej długości. Zauważyłam, że stół w kuchni i huśtawka na werandzie kiwają się trochę.

- Mam czterdzieści lat - powiedział, jakby to wyjaśniało cokolwiek.

- No cóż - roześmiała się - może ze stołami i huś-

tawkami będziesz radził sobie lepiej, gdy będziesz trochę starszy. A na razie zabawimy się cudownie, budując wspianały dom na tym drzewie.

- My?!

- Nie wiem, o której przyjedzie doktor Hombaker, ale póki tu jestem, mogę ci pomóc. Mam już w głowie wyraźny obraz idealnego nadrzewnego domu. Jeśli postąpisz według moich instrukcji, skończymy go bardzo szybko.

- Czy chcesz mi powiedzieć - rzekł powoli - że przypomniałaś sobie pewne umiejętności? Mam uwierzyć, że byłaś kiedyś projektantką, a może budowniczym, nadrzewnych domów?

- Nie. Jasne, że nie - odparła, kiwając głową z ubolewaniem. - Na pewno nie umiem posługiwać się młotkiem jak należy. Mam za to wspianałą wyobraźnię. Mogę nawet wszystko ci narysować. Nie będziesz żałował, przyrzekam. Poza tym dom na drzewie jest niezwykle pożyteczny, przydatny. Marzyłam o czymś takim przez całe życie.

- Nie pamiętasz całego swojego życia - zauważył.

- Ale to pamiętam - upierała się. - Wiem, że zawsze chciałam mieć dom na drzewie. I wiem też, że jesteśmy w stanie zbudować coś wspianego, gdy do twoich zdolności manualnych dodamy mój twórczy wkład.

- Nigdy w życiu nie spotkałem kogoś tak niezwykłego. Mówię poważnie.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się szeroko. - Przyjmuję to jako komplement. Zaczniemy zaraz po śniadaniu.

- Mam czterdzieści lat.

- Już to mówiłeś. Czy masz jakieś kompleksy związane ze swoim wiekiem?

- Jestem zbyt stary, by poświęcić poranek na coś tak idiotycznego jak siedzenie na drzewie. Zabiorę cię na ryby.

- Nic z tego. Najpierw trzeba zabić niewinnego robaka, potem uśmiercić biedną rybę... Nie. Budowanie domu na drzewie jest dużo bardziej przyjemne. Poza tym będziesz miał dzięki temu pamiątkę mojego pobytu w okolicach Gopher.

- Ophir. - Wpatrywał się w nią jak urzeczony. - Nie potrzebuję żadnych pamiątek po tobie. I bez tego nie będę w stanie ciebie zapomnieć.

- Wierzę, że to również miał być komplement. Masz może jakieś stare trampki? Chyba nie dam rady wejść na drzewo w tych sandałach.

- Nie będziesz wchodzić na drzewo.

- A w jaki sposób wytłumaczę ci, co masz zrobić, jeśli nie wejdę tam razem z tobą?

- Ja też nie będę wchodził na drzewo.

- Masz drugi młotek?

- Wcale mnie nie słuchasz.

- Oczywiście, że cię słucham. - Z zadowoleniem patrzyła na jego coraz bardziej czerwone uszy. - Jesteś tu gospodarzem. Byłoby niegrzecznie nie słuchać cię. Czemu nie zjemy grzanek? Jestem głodna.

- Nie będzie żadnego domu na drzewie! - powiedział stanowczo. - Nie uśmiechaj się. Zupełnie oszalałaś, jeśli sądzisz, że uśmiezkami skłonisz mnie do czegoś tak głupiego.

Uśmiech znikł z jej twarzy.

- Ja nie oszalałam, panie Coulter. Doznałam tylko czasowej utraty pamięci. Nigdy nie próbowałabym nawet zmusić pana do robienia czegoś, na co nie ma pan ochoty.

- Nie próbowałabyś, gdybyś nie chciała. Wygląda na to, że zawsze dostawałaś to, czego żądałaś. Ale nie dzisiaj. Masz pecha.

- Tak jest, panie Coulter! Jak pan sobie życzy.

- W porządku.

- Czy masz drugi młotek?

Nigdy jeszcze nie budowała nadrzewnego domu i zupełnie nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Siedziała na krześle w cieniu dębu i podsuwała Gabe'owi pomysły coraz lepsze, ale niewykonalne. Wreszcie Gabe kazał jej po prostu patrzeć, jak pracują mistrzowie. Siedziała więc uśmiechnięta i przyglądała się, jak powstaje najwspanialszy dom nadrzewny od czasów Tarzana i Jane.

Po godzinie potężny pień obejmowała ośmiokątna platforma z desek, umieszczona trzy metry nad ziemią. Gdy została otoczona solidną barierką, Gabe pozwolił A.J. wdrapać się na górę i obserwować jego pracę z bliska.

Potem powstała „sypialnia” - obszerna platforma na wyższym poziomie.

Całość uzupełniała sznurowa drabinka z drewnianymi szczebelkami, stół ze skrzynki po owocach i stary materac oraz czerwony, wystrzępiony koc do „sy-

pialni". A.J. uzupełniła wyposażenie plastikowymi naczyńkami i słomianką, którą ułożyła na trawie przed drzewem.

- Sam Tarzan zzieleniałby z zazdrości - powiedziała.

Zasadniczo Gabe przyznawał jej rację.

Siedział w „sypialni”, przypatrując się swemu dziełu. A.J. tymczasem chodziła pod drzewem i zrywała kwiatki. Pogwizdywała przy tym z cicha. Dentystyczna nić już dawno zsunęła się z jej włosów i złoty, lśniący w słońcu obłok przesłaniał jej twarz. I choć jej gwizdanie dalekie było od doskonałości, to przecież uroda A.J. rekompensowała to z nawiązką.

- Co mam teraz zrobić? - zawołał. - Założyć ogródek kwiatowy? A może zbudować płot wokół drzewa?

- Nie udawaj, że jesteś bardziej pracowity ode mnie.

- O czym ty mówisz? - Roześmiał się głośno. Przecież to ja zbudowałem ten domek.

- Ale skutek mojej inspiracji. Beze mnie nigdy w życiu nie wpadłbyś na ten pomysł. Przesiedziałbyś cały dzień z wędką i co potem mógłbyś obejrzeć? Nic!

- Czasem zdarza mi się jednak złapać jakąś rybę - mruknął.

- Mów głośniej. Nie słyszę cię.

- Nieważne.

Dziwne, ale zbudowanie tego domu na drzewie wprawiło go w wysmienity nastrój. Nadspodziewanie wysmienity. Spodobało mu się także spoglądanie na

świat z wysoka i słuchanie A.J., próbującej nieudolnie gwizdać. Polubił nawet jej pełne współczucia okrzyki, gdy zamiast w gwóźdź trafiał młotkiem we własny palec.

Polubił towarzystwo. Jej towarzystwo.

Spoglądał na nią z drzewa jak kot na kanarka.

Zamknął oczy. Byle tylko nie patrzeć na nią. Też źle. Całkiem jakby siedzenie na drzewie pozbawiło go dotychczasowej godności, powagi. Oczyma wyobraźni widział siebie zeskakującego z drzewa, przewracającego ją na trawę...

Przez cały ranek szukał jej wzrokiem, a gdy napotkał spojrzenie A.J., widział w ogromnych, piwnych oczach lęk. Doskonale wiedziała, co on czuje, i bała się. Mniej czy bardziej, ale jednak. Miał też irytujące wrażenie, że ona po prostu... na coś czeka. To nie było w porządku. Miał już czterdzieści lat.

- Chyba ma pan gości, panie Coulter - głos A.J. przerwał rozmyślenia Gabe'a.

Przerażony, otworzył oczy. To na pewno doktor Hornbaker, pomyślał. Poderwał się tak gwałtownie, że uderzył czołem w gałąź. Na pewno dowiedział się już czegoś o A.J. Kim jest, skąd pochodzi. Zabierze ją stąd.

Jeszcze nie! Jeszcze nie teraz! pomyślał.

Ponad koronami drzew dostrzegł tuman kurzu na drodze i usłyszał warkot samochodu. Roztrzęsione serce przestało łomotać gwałtownie. Rozpoznał charakterystyczny ryk silnika. To Roy Cobb przywiózł przesyłki.

- To tylko listonosz - usiłował mówić spokojnym głosem. - On nigdy nie zbliża się do domu. Wszystko zostawia w skrzynce przy bramie.

- Chcesz, żebym tam poszła?

- Nie ma pośpiechu - powiedział. Wcale nie chciał tracić jej z oczu. - I tak jedyne przesyłki, jakie tu docierają, są dla Boyda. Różne jego ulubione pisma: „Log Home Quarterly”, „Backwoods Digest” i takie tam...

- Jednak muszę rozprostować nogi. - Pomachała mu dłonią z uśmiechem. - Czy mówiłam ci już, jak wspaniale wyglądasz tam na górze? Jakbyś miał najwyżej trzydzieści pięć lat. Ani dnia więcej.

- Idź już po pocztę. Ja zostanę tu, gdzie czuję się władcą.

Uśmiechając się radośnie, ruszyła wąską ścieżką wzdłuż popękanego kamiennego murka i po chwili znikła za domem. Znalazła się w cieniu gęstych drzew. Zerwała kilka jagód. Spróbowała i uznała, że są zbyt smaczne, by mogły być trujące. Zerwała więc kolejne. Potem ruszyła dalej w stronę bramy i zbitej z drewna skrzynki na listy. Tak jak i inne dzieła Gabe'a, skrzynka przypominała sławną wieżę w Pizie. Patrząc na Gabe'a, trudno nawet przypuszczać, że odpowiada mu życie tak zwyczajne i wśród wykonanych chałupniczą metodą przedmiotów. Był tajemniczy, pełen sprzeczności. Wciąż nie mogła go rozgryźć. A im bardziej próbowała, tym mniej go rozumiała... I pragnęła wiedzieć o nim wszystko.

Zgodnie z przewidywaniami Gabe'a, w skrzynce

leżało kilka przesyłek i wszystkie były przeznaczone dla Boyda Berrengera. Było tam pisemko zatytułowane „Living Off The Country”, kilka ulotek i prospektów reklamowych, katalog firmy prowadzącej sprzedaż wysyłkową i najnowszy numer „Weekly Inquisitor”. Na widok tego brukowego magazynu A.J. skrzywiła się pogardliwie. Na pierwszej stronie wielkie litery informowały, że „Potwór z Loch Ness urodził bliźnięta”. Całość ilustrowała fotografia legendarnego potwora pływającego w towarzystwie czegoś, co przypominało dwie parówki. Poniżej wydrukowano: „Pożeraczka mężczyzn porzuciła narzeczonego numer pięć! Szczegóły na stronie szóstej”.

A.J. roześmiała się. Wciąż z niesmakiem kręcąc głową, wetknęła czasopisma pod pachę i ruszyła w stronę domu. Jak takie piśmidła w ogóle mogą być wydawane? Kto uwierzy w takie bzdury? Boyd Berrenger powinien leczyć się, jeśli czyta takie rzeczy.

„Narieczony numer pięć”.

Zatrzymała się w pół kroku, czując nagle przerażający chłód w całym ciele. Krew uderzyła jej do głowy. Serce waliło tak, jakby próbowało rozerwać żebra i wyrwać się na wolność. „Narieczony numer pięć”. Te trzy słowa niczym błyskawice przebiły się z mgły niepamięci. Zadygotała. Ujrzała przerażającą, ciemną twarz, wykrzywione usta miotające obelgi i dłoń... wymierzającą jej bolesny policzek.

Jej nieszczęsna głowa niemal pękała od galopujących myśli i szarpiących nią emocji. Zimny pot oblał ją całą. Płucom zabrakło powietrza. Przerażenie. Roz-

pacz. Samotność. Wściekłość. Poczwała, że oto wraca do życia, do rzeczywistości.

Ból.

Usiadła na środku ścieżki. Sięgnęła po numer „Weekly Inquisitor”, rzucając pozostałe przesyłki na trawę. Patrzyła na leżące na jej kolanach pismo, jakby spoglądała na jadowitą żmiję.

Bardzo wolno przewracała strony. Bała się tego, co spodziewała się znaleźć. A przecież nie mogła nie sprawdzić! Musiała zrobić to, choć czuła niewypowiedziany ból.

Szósta strona. Duża, kolorowa fotografia. Mężczyzna i kobieta tańczący w jakimś nocnym klubie. On - opalony, ciemnowłosa, ubrany w dżinsy i białą bawełnianą koszulkę. Ona - złotowłosa, z sięgającymi do ramion diamentowymi kolczykami w uszach. Miała na sobie obcisłą, czerwoną, bardzo krótką sukienkę. Pod fotografią podpis wielkimi literami: „Miliarderka Angel Gonaught i heavy-metalowy gitarzysta, Corwin Slade, jeszcze szczęśliwi, bawią się w „Trendy Club Rascals” w Los Angeles. Po pięciu tygodniach związek z piątym narzeczonym to już historia”.

Ta Angel, to... To niemożliwe!

Świat zawirował. Wydało się jej, że zapanowała nagle śmiertelna cisza. Nie słyszała nawet śpiewu ptaków.

- To ja. - Dotknęła roześmianej twarzy na fotografii. - To jestem ja.

Artykuł był krótki:

Seksowna Angel znów zmieniła zdanie. Po pięciu

tygodniach od dnia zaręczyn rzuciła gwiazdora muzyki rockowej, Corwina Slade 'a. Tym samym trafił on na ekskluzywną listę „byłych” obok takich znakomitości, jak dramaturg Robert Asker, dwukrotnie od niej starszy laureat Nagrody Pulitzera, czy Donny Racine z „Denver Broncos”. Slade jest załamany i grozi wniesieniem do sądu sprawy o niedotrzymanie przyrzeczenia. Życzliwi Angel uważają że to głęboki żal po niedawnej śmierci ojca, miliardera, przemysłowca, D. Quinna Conaughta, spowodował jej załamanie nerwowe. Co dalej? Nie udało się dotąd uzyskać odpowiedzi samej zainteresowanej. Angel Conaught jest nieuchwytna.

A.J. siedziała bez ruchu. Czas przepływał obok niej niezauważalnie. W głowie miała zamęt. Angel Conaught. Odnalazła swoją tożsamość. Siebie. I choć trudno było w to uwierzyć, serce mówiło jej, że to prawda. Przypomniała sobie nawet swoje drugie imię. Jordana, po matce ojca. Czyli „J” było pierwszą literą drugiego imienia, nie nazwiska. A apaszka, która teraz jak pasek podtrzymywała na niej dżinsy, była prezentem od koleżanek ze szkoły. Na te same urodziny dostała do ojca szczerozłote, diamentowe kolczyki. Prezent niezbyt odpowiedni dla szesnastoletniej dziewczyny. Wrzuciła je do szuflady i wysłała ojcu suche, zdawkowe podziękowania.

Ojciec. Przymknęła oczy, usiłując odszukać w sobie jakiegokolwiek związane z nim uczucia. Cokolwiek, co wywołałoby żywsze uderzenia serca. Znalazła je-

dynie... pustkę. Ujrzała siebie samą stojącą nad jego grobem i zastanawiającą się, jak pożegnać kogoś, kogo tak naprawdę nigdy nie знаła.

- Zaczynałem martwić się o ciebie.

To był Gabe. Gwałtownie zamknęła gazetę i zebrała z ziemi rozsypane czasopisma. Nie chciała, by dowiedział się, kim ona jest... i jaka jest naprawdę. Jeszcze nie teraz. Chciała najpierw sama poznać siebie. Czy naprawdę była tą kobietą? Nie czuła się jak Angel Conaught. Była A.J., bezbroną i zagubioną dziewczyną z dzikiej głuszy. A.J., która nie przepadała za rybami, związywała włosy nicią dentystyczną i uwielbiała nadrzewne domy.

- Spacerowałam - powiedziała zduszonym głosem. - Potknęłam się i upuściłam czasopisma. Przepraszam, ale wszystko się zabrudziło. Boyd chyba nie będzie zadowolony, prawda? Och, i jeszcze rozdarła się okładka katalogu. Tak mi przykro.

- Uspokój się. - Uklęknął przed nią i ujął jej twarz w dłonie. - Rupiecie Boyda nie są najważniejsze w życiu. Dobrze się czujesz? - spytał.

Nigdy przedtem nie widziała na jego twarzy tyle troski i niepokoju. Zastanawiała się, czy patrzyłby tak na nią, gdyby znał prawdę. Całą prawdę.

- Nic mi nie jest - szepnęła żałośnie. - Chyba jestem... zmęczona. Pewnie trochę przesadziłam dziś rano.

- Nawet na pewno. - Pomógł jej wstać. Był wściekły na siebie. Widok jej podkrążonych oczu sprawiał mu prawdziwy ból. Nie powinien był pozwolić jej

pracować. Należało lepiej opiekować się nią. Przecież nie miała nikogo poza nim.

- Daj mi te cholerne śmieci Boyda i wracajmy...

- Nie. - Przycisnęła czasopisma do piersi. - Nie przewrócę się pod ciężarem kilku papierków. Nie jestem kaleką. Nie traktuj mnie tak, proszę. Chciałabym tylko położyć się na chwilę.

Gabe uniósł ręce w pojednawczym geście.

- Już dobrze, dobrze. Nie denerwuj się tak. Chciałem ci tylko pomóc. Czy mogę pójść do domu razem z tobą, czy też będzie to zamach na twoją wolność i niezależność?

- To twój dom - odrzekła cicho.

- Naprawdę chciałbym, żeby doktor Hornbaker już przyjechał - mruknął. - Czułbym się lepiej, gdyby przyjrzał ci się dokładnie. Nie jesteś sobą.

Szybko odwróciła głowę, by nie zobaczył łez ciskających się jej do oczu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W czasie gdy A.J. spała, Gabe postarzał się przynajmniej o dziesięć lat.

Huśtał się na werandzie, nerwowo wypatrując doktora Hornbakera. Myślał już nawet o tym, by pojechać do Ophir i przywieźć go, ale nie chciał zostawiać A.J. samej. Szybko zrezygnował też z obudzenia jej i zawiezienia do miasta.

Za każdym razem, gdy zaglądał do jej pokoju - a zdarzało się to mniej więcej co kwadrans - zastawał ją śpiącą smacznie jak niemowlę. Rzeczywiście potrzebowała wypoczynku. Jemu zaś pozostało tylko wykazać się cierpliwością. Niczego więcej nie mógł zrobić.

Żeby zupełnie nie oszaleć, postanowił znaleźć sobie jakieś zajęcie. Najpierw pomyślał o rąbaniu drzewa za domem. Bał się jednak, że ją obudzi. Potem przypomniał sobie, że powinien naostrzyć swój rybacki nóż, a jeszcze później, że mógłby przygotować trochę nowych sztucznych much. Nie miał jednak ochoty brać się do czegokolwiek.

Nazbierał więc trochę kwiatów.

Wcale nie musiał chodzić daleko. Mnóstwo ich rosło wokół domu. Zrobił wielki bukiet, przyozdobił go

trawami i wstawił do glinianego wazonu. Ustawił kwiaty na półeczce nad kominkiem, ale uznał, że sąsiedztwo zakurzonej butelki bourbona psuje efekt artystyczny. Postawił więc wazon na stole w kuchni. Już po chwili aromat kwiatów wypełnił całe pomieszczenie. Wiedział, że to się A.J. spodoba.

Poczuł się dumny, choć wiedział, że postępuje jak sentymentalny głupiec. Ale nie mógł już nawet przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz czuł się taki dumny.

W szafce odnalazł grę „Scrabble” i rozłożył ją na stoliku do kawy. Może po obiedzie A.J. zechce rozrwać się trochę? Pomyślał, że ta gra nie powinna być dla niej zbyt męcząca. Poza tym sprawiało mu przyjemność wyobrażanie sobie, jak grają, gawędzą niespiesznie, spoglądają na siebie. Czuł się potrzebny i było mu z tym dobrze.

Potrzebowała go. Była taka krucha, bezbronna. Będzie opiekował się nią. Jak długo będzie trzeba. Dziś, jutro, zawsze...

Doktor Hornbaker przyjechał dopiero po południu. Tłumaczył się bardzo ze spóźnienia i mówił coś o kłopotach z samochodem. W jednej ręce trzymał pękatą papierową torbę, w drugiej czarną lekarską walizeczkę.

- Theo chciał przyjechać tu ze mną - mówił doktor, idąc za Gabe'em do kuchni. - Właściwie siedział już w samochodzie. Ale na samym środku skrzyżowania zatrzymał nas Roy Cobb. Ktoś wcisnął ziemniak do rury wydechowej jego pocztowej ciężarówki i Roy

chciał wnieść oskarżenie. Nie bardzo wiedział, przeciwko komu, ale gotów był zażądać śledztwa w tej sprawie. - Zatrzymał się gwałtownie na widok kolorowego bukietu. - Piekło, szatani! Co to jest?

Gabe poczerwieniał z wściekłości.

- A na co to wygląda, Archie? To jest bukiet kwiatów.

- Hmm - mruknął doktor z zakłopotaniem. - Nigdy w życiu nie myślałem, że zobaczę coś takiego na kuchennym stole Gabe'a Coultera. Uważaj na siebie, synu. Ona rozmiękczy ci mózg tymi kobiecymi sztuczkami.

- To ja zebrałem te kwiaty - burknął Gabe.

- Co powiedziałaś?

- To ja zebrałem te cholerne kwiaty, w porządku? Lubię cholerne kwiaty! Czy jest w tym coś złego?

- Skądże. - Doktor przygryzł wargi. - To naprawdę piękny bukiet... Czy mógłbym teraz obejrzeć naszą pacjentkę?

- Ucięła sobie drzemkę. Przespała już prawie całe popołudnie. Martwię się o nią, bo nie wyglądała najlepiej.

- Co z jej pamięcią? Są jakieś postępy?

Gabe wzruszył ramionami.

- Raczej nie. Przypomniała sobie, że lubi grzanki, i oderwane fakty dotyczące nauczyciela ze szkoły. To wszystko.

- Prawdę mówiąc, nie brzmi to zbyt zachęcająco. Ale nie wolno tracić nadziei. - Doktor postawił na stole papierową torbę. - Żona Thea przysłała tu trochę rzeczy dla A.J. Mam nadzieję, że moja pacjentka nie zabawi u ciebie zbyt długo. Jest zdrową, młodą kobie-

ta, a obrażenia głowy wcale nie są poważne. Theo sprawdził raporty o zaginionych, ale to nic nie dało. Będzie próbował zasięgnąć informacji w Denver, Cheyenne i Salt Lake City. Gdy tylko dowie się czegoś, da ci znać. Nie martw się. Tak czy inaczej, wszystko się wyjaśni.

Gabe odetchnął z ulgą. A.J. zostanie z nim jeszcze trochę. Przynajmniej przez kilka dni.

- Czyli nie pozostaje nam nic innego, tylko czekać, tak?

- Owszem. - Archie spoglądał na niego z uśmiechem. - Coś mi jednak mówi, że cała ta sytuacja nie jest jednak aż tak nieznośna, jak przewidywałeś.

- Nie tak łatwo mnie nastraszyć. - Gabe unikał wzroku doktora. Czasami nie cierpiał lekarzy. Zawsze zdawało im się, że wiedzą wszystko najlepiej. - Powiem A.J., że tu byłeś. Woda sodowa jest w lodówce, jeśli masz ochotę czegoś się napić.

- Ach, jeszcze jedno - cichy głos doktora zmroził Gabe'a. - Zbudowałeś wspaniały dom na drzewie, synu. Fantastyczny.

Gabe odwrócił się na pięcie i, nie oglądając się, wyszedł.

Ogień płonął na kominku. Gra „Scrabble” czekała. Archie Hornbaker wyniósł się już dawno, zostawiwszy mnóstwo instrukcji, które w sumie sprowadzały się do jednego: nakłaniać pacjentkę do odpoczynku i cierpliwie czekać. Skoro zaczęła już przypominać sobie to i owo, reszta jest tylko kwestią czasu.

Gabe siedział na kanapie i dosłownie gryzł palce. Minęło już pół godziny, a A.J. nie wracała. Miała tylko wybrać sobie coś z rzeczy, które Archie przywiózł od żony Thea.

Jak zdumiewająco pusty był pokój bez niej.

Podczas obiadu mówiła niewiele. Gadał głównie Archie. Gabe natomiast zbyt martwił się o nią, by słuchać paplaniny doktora. Coś było nie w porządku. A.J. stała się małomówna, unikała jego spojrzenia i prawie nic nie zjadła. Nie mogło to być zmęczenie - przespała przecież całe popołudnie.

Dorzucił drewna do ognia, rozmyślając o minionym dniu. Może zrobił coś nie tak? Zanim sprowadził się do Ophir, był bez wątpienia największym egoistą na świecie. Po dwóch latach samotności musiało się to jeszcze pogłębić. Na pewno był okropny. Może powinien przeprosić ją, na wszelki wypadek. Zastanawiał się, co mógłby uczynić, by na jej twarz powrócił uśmiech.

Tęsknił do jej uśmiechu.

I doczekał się. A.J. weszła do pokoju uśmiechnięta. Krzywo, bo krzywo, ale jednak.

Przeszła przed nim krokiem modelki, mówiąc:

- A teraz widzą państwo nieznaną kobietę z całkowitym zanikiem pamięci, prezentującą poliestrową kreację popołudniową zaprojektowaną i wykonaną z myślą o jej boskiej figurze.

Gabe oniemiał. Zamarł ze zdumienia. I ze zgrozy.

Jaskrawożółta bluzka w wielkie pomarańczowe róże była bez wątpienia uszyta na osobę ważącą nie

mniej niż sto trzydzieści kilogramów. Obszerny okrągły dekolt odsłaniał ponętne, nagie ramię A.J. i ramiączko stanika. A spod sięgającej kostek spódnicy wystawały stopy w pomarańczowych butach na grubej podeszwie.

- Zaraz utoniesz w tym stroju - rzucił Gabe, dusząc się od tłumionego śmiechu.

A.J. dumnie uniosła brwi i rzekła:

- Panie Coulter. Wiele czasu zajęły mi przygotowania i starania. Ogląda pan teraz tego efekty.

Milcząc, pokiwał głową.

A.J. przygryzła wargi. W końcu jednak nie wytrzymała. Ukryła twarz w dłoniach i zanosła się śmiechem. Nie mogąc się od niego powstrzymać, próbowała mówić:

- Po... powinieneś zobaczyć resztę ubrań. Czy... czy żona Thea... jest... gruba?

- Można to i tak nazwać. - Gabe z trudem opanował dławiący go chichot. - Juliette, żona Thea, jest... dobrze zbudowana. - Złapał się za brzuch i opadł na kanapę. - Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

- To cudownie z jej strony, że pomyślała o mnie. - Po twarzy A.J. płynęły strumyczki łez. Usiadła obok Gabe'a. - Jestem jej ogromnie wdzięczna, naprawdę. Och, pęknę, nie mogę przestać. Powinieneś zobaczyć płaszcz kąpielowy. Włożyłabym go, ale na pewno nie mógłbyś mnie w nim znaleźć. Oj, ja wiem, jestem okropna. Tak mi przykro. Nie wiem, czemu to jest takie śmieszne.

- Może dlatego, że wyglądasz komicznie. - Pogła-

skął ją po głowie. Przypominała sześciolletnią dziewczynkę, strojącą się w suknie mamy. - Chyba lepiej będzie, jeśli pożyczę ci jakieś moje rzeczy.

- Tak myślisz?

- Tak myślę. - Patrzył na nią i był pewien, że nigdy dotąd nie widział równie pięknej kobiety. Co się z nim stało? Kiedy śmiała się, jemu także robiło się wesoło, gdy płakała - i on cierpiał.

Uśmiechnął się łagodnie.

Mógłbym pokochać cię tak łatwo, pomyślał.

- Cholera - szepnął.

- Co? - Uniosła głowę. - Co się stało?

Była taka młoda. Ze złością zastanawiał, się gdzie też podział się jego zdrowy rozsądek.

- Zorientowałem się...

- Zorientowałaś się? - Uśmiechnęła się niepewnie.

Spojrzał jej w oczy.

- Zorientowałem się, jak trudno będzie mi pozwolić ci odejść.

Zapadła cisza. Tylko ogień trzaskał cicho na kominu. A.J. oblizwała wargi.

- Teraz jestem tutaj - szepnęła.

Siedział bez ruchu. W gardle zaschło mu zupełnie. Był pewien, że nie wiedziała, czy też nie zdawała sobie sprawy z tego, co czyni.

- Powinnaś już pójść do łóżka. Natychmiast. - Wymawianie słów było dla niego prawie torturą.

Pokręciła przecząco głową.

- Woiaż każesz mi iść do łóżka - powiedziała.

- A.J. - z trudem wydobył z siebie głos - nie licz

na to, że będę opiekować się tobą tej nocy. Chyba nie dam rady.

- Wcale tego nie chcę - szepnęła cicho.

Na karku poczuł dziwne mrowienie. Któres z nich traciło rozum. Gabe nie był tylko pewien, które. Patrzył na nagie ramię wystające ze zbyt obszernej bluzki i czuł krople zimnego potu na plecach.

Zamarł, gdy ostrożnie położyła dłoń na jego piersi. Minę miała skupioną, jakby robiła coś najważniejszego w życiu.

- Twoje serce - powiedziała - bije tak szybko.

Tak było. Jego serce tłukło się jak spłoszony ptak. Nie potrafił nad tym zapanować. Okazało się, że nad rękami również. Bez jego woli uniosły się do jej twarzy. Odgarnęły złote pukle rozświetlone blaskiem ognia z kominka. Palce mu drżały. Wprost nie mógł wyjść ze zdziwienia, że jej skóra jest tak chłodna i delikatna. Zapragnął zanurzyć się cały w tych miękkich, złotych włosach.

- Spójrz na mnie, proszę - powiedziała. Ich oczy spotkały się. Próbował myśleć o następnym dniu, gdy powrócą do szarej rzeczywistości. Nie potrafił.

- Jestem przerażony.

- Gabe - powiedziała cicho.

Po raz pierwszy wymówiła jego imię. Coś w nim pękło. Pochylił się ostrożnie i pocałował ją. Jej usta były słodkie i wilgotne. Wargi rozchyłały się powoli. Zetknęli się czubkami języków.

- Drzę cały - szepnął.

- Ja także. - Uniosła dłoń, by mógł to zobaczyć.

- Powinniśmy przestać...

Znów usta Gabe'a przywarły do warg A.J. Przytuliła się do niego. On objął jej drobne ciało. Przycisnął. Czuł ją tak blisko siebie. Dzielił ich tylko cienki materiał. Jędrne piersi napierały na niego, obezwładniały zmysły. Delikatny zapach lawendy podniecił go niemal od razu. Gdzieś tam, w głębi mózgu, czuł, że powinien przerwać to natychmiast. Ale nie mógł. Tak długo był sam...

Nie miał już siły udawać przed sobą i przed całym światem, że nie potrzebuje nikogo ani niczego.

Całowali się zapamiętale. Oddychali gwałtownie. Nagle okazało się, że guziki jego koszuli są rozpięte. Czuł na nagiej skórze rozpalone dłonie A.J., słyszał jej przyspieszony, ciężki oddech.

Zastygli na chwilę bez ruchu, wpatrzeni w siebie. W końcu, zagryzając wargi, Gabe uniósł ręce i dotknął jej piersi. Z cichym jękiem opuściła powieki. Powoli zsunął staniczek, za wszelką cenę starając się nie porozrywać go w strzępy. Różowe sutki były nabrzmięte i gorące.

- Jesteś piękna - szepnął, nie przestając jej pieścić.
- Doskonała. Słodka.

- Czuję się... słodka - powiedziała drżącym głosem. - Jak brzoskwinia. Soczysta i gorąca od słońca... Smakowita...

Z cichym pomrukiem całował jej kark.

- To nie jest dobrze... - szepnął.
- Jest dobrze - przerwała mu rozmarzona. - Jest tak wspaniale...

Przywarła do niego całym ciałem. Nagie piersi poddawały się wielkim dłoniom. Czas zatrzymał się nagle. Świat wokół nich przestał być ważny. Liczyły się tylko jej usta, gładkość jej skóry, słodycz piesszczot.

Gabe podjął ostatnią próbę. Tak bardzo bał się skrzywdzić ją, zranić. Ale nie mógł przestać.

A to przeklęte, po stokroć przeklęte ubranie wciąż spowijało A.J. beładnymi zwojami. Ze zbyt obszernego dekoltu wystawało gładkie ramię. Naga pierś lśniła jak kość słoniowa. Naprężona sutka była wilgotna od jego zachłannych pocałunków. Czuł wbijające mu się w ramiona paznokcie, ale bronił się wciąż jeszcze. Po raz pierwszy w życiu bardziej zależało mu na tym, by zachować się z godnością, niż zwyciężyć. Gdy poczuł jej dłoń wślizgującą się za pasek jego dżinsów, powstrzymał ją.

- Co... się... stało? - szepnęła. - Gabe...

- Albo ja pójdę na spacer - wydusił z siebie - albo ty pójdziesz do łóżka. Jedno z nas musi wyjść. Natychmiast.

- Ale co się stało? Czy zrobiłam coś złego? Myślałam, że chcesz...

Miała oczy pełne strachu.

- Chciałem. Nie, nie chciałem. Niech to diabli! Jesteś słaba, bezbronna. Możesz zbudzić się rano i przypomnieć sobie, że jest ktoś inny...

- Nie ma nikogo innego. - Te słowa wyrwały się jej, nim zdołała pomyśleć.

- A.J., przecież nie wiesz o tym - mówił łagodnie, delikatnie poprawiając na niej ubranie. - O niczym

nie wiesz. Dosłownie. Cholera! Jak w ogóle mogłem do tego dopuścić? Każę sobie chyba wypisać na nagrobku: „Jak mogłem do tego dopuścić?” Pasuje jak ulał.

Poczuła ucisk w gardle. Widziała wszystkie uczucia malujące się na jego twarzy. Nie była w porządku. Powinna powiedzieć mu prawdę.

Ale nie mogła tego zrobić.

- Może masz rację. - Uklękła na drżących kolanach. - Chyba powinnam pójść do łóżka.

- Nie ma żadnego „chyba”. Nigdy nie mówiono, że jestem szczególnie bezinteresowny.

- Może nie jestem tego warta? - wyszeptwała. - Pomyślałeś o tym?

- Jesteś. - Uśmiechnął się z niedowierzaniem. - Niektórzy ludzie - nie wszyscy, ale niektórzy - zasługują na to, by chronić ich przed okrutnym światem. I ty właśnie do nich należysz, brązowooka.

- Gabe...

- Mów do mnie: panie Coulter. Przynajmniej dzisiaj. To pomoże mi pamiętać o moich obowiązkach.

Schyliła głowę, zanim mógł dostrzec łzy w jej oczach. Poczuła bolesny skurcz w sercu. Po raz pierwszy w życiu ktoś okazywał jej tyle uczucia nie ze względu na posiadane przez nią miliardy. Nie mogła tego zburzyć. Nie potrafiła powiedzieć mu prawdy. Na razie. Chciała pozostać A.J., jak długo to będzie możliwe. Pragnęła tylko, by Gabe Coulter mógł zawsze chronić ją przed okrutnym światem.

- Jestem szczęśliwa - powiedziała głucho. Objęła

się ramionami, ściskając nabrzmiałe aż do bólu piersi.
-Jak jeszcze nigdy...

Nie skończyła. Zaciśnęła wargi i wyszła z pokoju.

Rzuciła się na łóżko wstrząsana gwałtownymi dreszczami. Po chwili usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi. To Gabe próbował uporać się z własnymi problemami. Aż do bólu pragnęła pobiec za nim, wyjaśnić... Z wściekłością biła pięściami poduszkę.

Angel Conaught poczuła się przeraźliwie samotna. Pragnęła go. Pragnęła Gabe'a. Leżała skulona, próbując zrozumieć, co się z nią stało. Nigdy nie sądziła, że jest zdolna do takich uczuć i pragnień. Wróciła jej pamięć. Przypomniała sobie wszystko, lecz wciąż pozostawała dla siebie obcą osobą. Było to bardzo dziwne uczucie. Angel Conaught, której życie zawsze szczeniło wszelkich trosk, była pusta. Nie miała nawet cienia tych możliwości, co zagubiona, samotna A.J.

Usiadła na łóżku, okręcając wokół palca kosmyk włosów. W głowie miała kompletną pustkę. Tylko oderwane obrazy. Gabe... I ten niezwykle przedsmak czekającej ją rozkoszy.

Dzięki niemu narodziła się nowa kobieta. Cud prawdziwy sprawił, że znalazła się w jego domu. Czy to takie złe, że chciała przedłużyć te wspaniałe chwile?

Nie wiedziała, co jest złem, a co dobrem. Ale po raz pierwszy w życiu była świadoma, czego pragnie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pojechałem do Ophir pogadać z Theo. Wróć za kilka godzin. Nie dotykaj piecyka. Proszę. Sok pomarańczowy jest w lodowce, płatki śniadaniowe w szafce. Proszę, nie dotykaj piecyka.

Pan Coulter.

Pan Coulter.

Przeczytała podpis i rzuciła kartkę na kuchenny stół. Raczej nie był to liścik miłosny. W ogóle cały poranek nie był udany. Przez prawie całą noc nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok niemal do wschodu słońca, czekając niecierpliwie na spotkanie z Gabe'em. Wreszcie wstała, umyła włosy i ubrała się w ciągu dwudziestu minut.

Zwykle spędzała przed lustrem całe poranki.

I teraz, gdy okazało się, że Gabe'a nie ma w domu, nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Umiała znaleźć sobie rozrywki w Los Angeles czy w Nowym Jorku, znała luksusowe sklepy w Londynie i najlepsze restauracje w Paryżu, ale zupełnie nie potrafiła zabawić się w Ophir. Nie mogła nawet eksperymentować z piecykiem. Z dostępnych w domu Gabe'a lektur nie mogła wybrać dla siebie niczego. Tym bardziej, że

były tu tylko książki o technikach wędkowania albo o zwyczajach pstrągów. Nie miała także ochoty na dalekie spacery po zamieszkanym przez ziemne wiewiórki lesie.

Z nudów postanowiła powtykać trochę nos w nie swoje sprawy. Pomyszkować po domu.

Intencje miała jak najlepsze. Gabe Coulter stanowił nie lada zagadkę. Pełen energii, inteligentny i wykształcony, prowadził samotnicze życie w środku gór. Dlaczego?

Zapagnęła dowiedzieć się o nim czegoś więcej. A nawet wszystkiego.

Nigdy nie była w jego sypialni. Na palcach przeszła przez korytarz, co rusz rozglądając się, jakby ktokolwiek mógł ją na tym przyłapać. Nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte. Przez chwilę stała niezdecydowana, gryząc paznokieć. Miała wątpliwości, czy aby na pewno jest osobą, która ma prawo naruszać cudzą prywatność. Jednak, po długim wahaniu, wreszcie weszła do środka.

Zasłony były zasunięte i cały pokój tonął w półmroku. Skradając się jak złodziej - a czy w pewnym sensie nie była przestępczynią w tym momencie? - podeszła do łóżka. Pościel była w wielkim nieładzie. Poduszka leżała na podłodze, prześcieradło zwisało smętnie z jednej strony łóżka, a zwinięta w wielki kłęb kapa leżała w jego nogach. Gabe chyba także miał za sobą bezsenłą noc. To odkrycie sprawiło jej nawet pewną przyjemność. Miała tylko nadzieję, że Gabe wyciągnie z tego właściwą naukę. Czas jest sta-

nowczo zbyt cenny, by go marnować. Mieli jeszcze tyle odkryć przed sobą. Tak wiele rzeczy o sobie nie wiedzieli.

Usiadła ostrożnie na brzegu łóżka i pogładziła miękkie płótno prześcieradła. Było chłodne, lecz zdawało się jej, że czuje jeszcze ciepło ciała Gabe'a. Nagiego ciała.

Zrobiło się jej gorąco.

Rozejrzała się dookoła. Na szafce przy łóżku stała lampka nocna. Obok niej leżał blok rysunkowy. Na górze strony naszkicowane było coś, co przypominało psią budę. Nowe projekty, pomyślała z uśmiechem. Ale rysować to on nie potrafi.

Odreżyła się trochę. Przestała czuć się w tym pokoju intruzem. Zdawało się jej nawet, że jest gościem. Spacerowała wolniutko, muskając palcami zasłony w oknie, przysiadając na krzesłach. Zastanawiała się, czemu krzesła kiwają się po przekątnej, a nie do przodu lub tyłu. Potem zajrzała do szafy. Była prawie pusta. Prócz dziesięciu roboczych koszul i pary kaloszy nie było tam niczego.

Uśmiechała się. Wszystko wkoło bawiło ją szczerze. Nigdy dotąd nie spotkała takiego człowieka jak Gabe. Kogoś, kto naprawdę tak mało potrzebował do szczęścia. Stał jej przed oczami jak żywy. Wciąż wyczuwała jego delikatny zapach. Czuła na sobie spojrzenie niebieskich oczu. Łagodne i takie przyjemne.

Gdy nagle usłyszała łomotanie do frontowych drzwi, drgnęła gwałtownie. Twarz oblał jej gorący

rumieniec. Poczowała wstyd i strach, choć rozum podpowiadał, że Gabe nie łomotałby do drzwi. Nie musiał - był to jego dom.

Pobiegła do salonu, stanęła na środku, dysząc ciężko i nasłuchując z obawą. W końcu była sama w pustym domu na odludziu. Kto wie, jaki dzikus stoi za drzwiami...

- Halo! To ja, Boyd Berrenger! - usłyszała donośny głos. - Czy jest tam ktoś? Ludzie, mam dla was nowiny. Hej, do diabła, zanosi się na deszcz! Halo!

A.J. otworzyła drzwi. Zachłannie wystawiła twarz na kojący powiew chłodnego wiatru.

- Cześć, Boyd. Gabe'a nie ma w domu. Pojechał do Gopher.

- Nie uwierzysz! - wykrzyknął Boyd. Nie witając się, wszedł do środka. - Spłynęło to na mnie wprost z niebios ostatniej nocy i byłbym przybiegł do was natychmiast, gdyby nie to, że nie było widać księżycy, a ja nie jestem jeszcze najlepszy w odszukiwaniu drogi i kierunków po ciemku i wcale nie miałem ochoty wpaść do jeziora. Mniejsza z tym. Już wiem, gdzie widziałem cię przedtem. - Spojrzał na nią z dumą i radością. - Nie rozumiem, czemu nie przypomniałem sobie tego wcześniej. Widywałem cię przecież całkiem często. Najbardziej zdumiewające jest... - przerwał nagle i spojrzał na nią podejrzliwie. - Co ty powiedziałaś? Gabe poszedł polować na wiewiórki?

- Wybrał się do Ophir. - A.J. zamknęła drzwi, wolno podeszła do kanapy i usiadła z opuszczoną głową. - Gabe pojechał do Ophir porozmawiać z Theo.

- Po co komu Theo, jeśli ma Boyda Berrengera? Wyjaśniłem twoją tajemnicę. Wiem, kim jesteś, i sam prawie nie mogę w to uwierzyć. Czy ty mnie słyszysz? - spytał głośno, gdy A.J nie zareagowała w żaden sposób. - Wiem, kim jesteś. Jesteś uratowana! Odnaleziona.

Jestem zgubiona, pomyślała ze łzami w oczach. Wszystko przepadło.

Boyd stał przed nią, jakby uleciało z niego powietrze. Jej reakcja, a raczej całkowity jej brak, stropiły go zupełnie. Patrzył, kiwając głową z niedowierzaniem.

- Piekło, szatani! Tak mawia nasz doktorek - bąknął w końcu. - Już rozumiem. Wróciła ci pamięć, prawda? Wiesz już wszystko o sobie. A ja wyobrażałem sobie, że będę radośnie witany zwiastunem wielkiej nowiny. Wiesz, zastanawiam się ciągle, dlaczego nie poznałem cię od razu. Dziesiątki razy widziałem twoje fotografie. Jeszcze przed kilkoma miesiącami byłaś na okładkach wszystkich pism, kiedy... - ugryzł się w język, gdy uświadomił sobie, co chciał powiedzieć. O kurczę! Nie chciałem przypominać ci... Cholera!

- Wszystko w porządku - powiedziała spokojnie. - Możesz to powiedzieć. Kiedy zmarł mój ojciec. Przypomniałam sobie wszystko, Boyd. Atak serca ojca, tłumy reporterów i fotografów na pogrzebie... Pamiętam to wszystko.

Boyd przełknął głośno ślinę, przestępując z nogi na nogę. Wreszcie usiadł obok niej na kanapie ze skrzyżowanymi ramionami.

- Co za cholerna rozmowa - mruknął. - Zupełnie nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem nawet, jak cię nazywać. Angel to bardzo ładne imię, ale wiesz... bardziej pasuje do ciebie A.J.

- Wiem. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Kiedy byłam w Szwajcarii, w szkole z internatem, wielu moich przyjaciół mówiło do mnie A.J. Nic dziwnego, że wcale mi nie przeszkadzało, gdy Gabe nazywał mnie w ten sposób.

- Szkoła z internatem w Szwajcarii. - Boyd gwizdnął cicho, kręcąc głową. - Nikt z moich znajomych nie chodził do szkoły z internatem w Szwajcarii. Kurczę! Nigdy nie rozmawiałem nawet z kimś tak sławnym i znanym. Jesteś zaręczona z Corwinem Slade'em, prawda? Z tym gitarzystą? Pamiętam, że kiedyś o tym czytałem.

A.J. zacisnęła usta.

- Byłam. Zerwałam z nim kilka tygodni temu.

- Pamiętam też, że słyszałem coś o graczku w baseball...

- W futbol - poprawiła go z ponurą miną. - Nazywał się Donny Racine. Byliśmy ze sobą w zeszłym roku. To już nieaktualne.

- Rozumiem. - Z tonu, jakim to powiedział, A.J. poznała, że to nieprawda. - Taaak. Musiałaś być bardzo zajęta.

- Oj, tak. - Uśmiechnęła się blado. - Zaręczanie się i zrywanie zaręczyn zabiera strasznie dużo czasu. Czasu traconego bezproduktywnie. Zwłaszcza jeśli dotyczy to mężczyzn, jakich spotykałam dotychczas.

- Więc czemu, u diabła... - Był zbyt zdumiony, by zachować choćby odrobinę taktu.

A.J. skuliła się na kanapie.

- Myślę, że po prostu chciałam zwrócić na siebie uwagę mojego ojca. Matka umarła przy porodzie, a ojciec... nigdy nie znalazł dla mnie odrobiny ciepła. Stale zajęty był tylko doglądaniem swojej fortuny. Mnożeniem pieniędzy. I tak naprawdę, zwracał na mnie uwagę tylko wtedy, gdy doprowadziłam go do wściekłości. I... rozwścieczałam go, gdy tylko było to możliwe - zamknęła oczy. - Nienadzwyczajna historia, prawda? Jedno diablatko i pięciu narzeczonych w ciągu trzech lat. I tak wiele... żalu.

Boyd słuchał w milczeniu. W końcu rzekł z wahaniem:

- Wiesz, to bardzo interesujące. Nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś, kto miałby pięciu... - zabrakło mu słów. - Wiesz, czego nie mogę zrozumieć? Co zdarzyło się, zanim Gabe Coulter znalazł cię w Cotton Creek? Czemu ktoś taki jak ty włóczył się samotnie pośród Gór Sawatch?

A.J. zwiesiła głowę.

- To całkiem proste. Po śmierci ojca zrozumiałam, że mój związek z Corwinem był pomyłką. Absolutnym nieporozumieniem. Kolejnym w moim zmarnowanym życiu. Zerwałam z nim, wsiadłam w samolot i przyleciałam do moich przyjaciół, do Denver. Ale Corwin przyjechał tam za mną. Za wszelką cenę chciał mnie przekonać... W końcu tracił nie tylko narzeczoną, ale i wszystkie miliardy, które odziedziczyłam. Po-

kłóciliśmy się. Potwornie. Uderzył mnie... Pożyczyłam więc sobie samochód przyjaciół i w środku nocy pognałam prosto przed siebie. Było mi całkiem obojętne, dokąd jadę. Chciałam po prostu uciec. Od wszystkiego. Czy już mówiłam, że nie mam prawa jazdy?

- Piekło, szatani! - zachnął się Boyd. - Chyba nie jesteś niepełnoletnia, co?

Uśmiechnęła się krzywo.

- Daj spokój. Mam dwadzieścia cztery lata. Po prostu prawo jazdy nie było mi dotąd potrzebne. Nigdy o nie nie dbałam. Właściwie nie musiałam sama prowadzić samochodu. Nie wiem, jak znalazłam się w tych górach. Gdy weszło słońce, wszędzie wokół mnie były tylko drzewa i góry, a wąski pas asfaltu bardziej przypominał tor kolejki górskiej w wesołym miasteczku niż szosę. W końcu straciłam panowanie nad kierownicą. Samochód zaczął staczać się do głębokiego wąwozu. Pamiętam, że uderzyłam o coś głową... i już nic więcej. A potem obudziłam się pod stołem piknikowym wśród żarłocznych wiewiórek. Gdy przyszłam trochę do siebie, ruszyłam na poszukiwanie pomocy, ale zupełnie nie mam pojęcia, w jaki sposób...

Drzwi wejściowe otwarły się i serce A.J. zamarło. Wszedł Gabe. Przez otwarte drzwi widać było stalowoszare, zimne niebo pełne gnanych wiatrem ciemnych i mokrych chmur. Spojrzał na siedzących na kanapie i nie wyrzekł ani słowa. Pod pachą trzymał pękatą papierową torbę. Z daleka widać było, że zaciśnięta szczęki.

- Jeśli znowu wlażesz przez okno - powiedział po chwili, do Boyda głosem zimnym jak stal - i wystraszyłeś A.J. choćby tylko odrobinę, jeżeli nawet tylko próbowałeś zabawić się w tropiciela, przysięgam, że...

- Dzisiaj nie jest dobry dzień na pogrożki. - Boyd pogroził mu palcem. - Powinniśmy wszyscy cieszyć się, świętować. Nawet nie wiesz, jak mi ulżyło, gdy... - przerwał, gdy A.J. uszczypnęła go w ramię. - Auuu!

A.J. zawołała z udawaną wesołością:

- Boyd wpadł, żeby sprawdzić, co u nas słychać. Miałam miłe towarzystwo podczas twojej nieobecności.

Wiatr pchnął drzwi i uderzył nimi w nogę Gabe'a, który zatrzaskał je gwałtownym kopnięciem.

- Jak zwykle minęliśmy się, Boyd. Dlaczego powinniśmy świętować? Czemuż to ulżyło ci tak bardzo, jeśli wolno spytać?

Boyd spojrzął na A.J. Odchrząknął niepewnie i powiedział:

- Ulżyło mi ogromnie, że szczęśliwie dojechałeś do domu. Straszna burza wisi w powietrzu. Ciśnienie spada gwałtownie. Sześćdziesiąt procent prawdopodobieństwa, że będzie ulewa. Powinienem ruszać natychmiast. Moje mokasyny są bardzo wygodne, ale nie wodoodporne. Możecie świętować beze mnie.

- Co świętować? - zapytał Gabe z naciskiem.

- No wiesz... jesteśmy tak cholernie szczęśliwi, że już wróciłeś. - Boyd podniósł się, pokaszując cicho. Był strasznie zdenerwowany, bo nigdy nie umiał im-

pro wizowa ć. Nawet gdy pracowa ł w telewizji, korzysta ł z rzutnika tekstu. Zawsze widzia ł na monitorze napisane wcze śniej zdania..- Musz ę ju ż i ś ć. Koniecz- nie. Mi ł o mi by ł o pogada ć*z to b ą, A.J. Wkrótce znów porozmawiamy.

- Odprowadz ę ci ę, Boyd. - A.J. wsta ł a z kanapy oblana gor ą cym rumie Ń cem a ż po cebulki w ł osów.

- Krótki spacer dobrze mi zrobi. Gabe, odprowadz ę tylko Boyda.

- Jak chcesz. - Gabe usun ą ł si ę na bok. Po chwili wolno ruszy ł do kuchni. Teraz schowa ł ody do zamra- żarki i mleko do lodówki, a potem... za ż ą da wy- ja ś nie Ń .

- Co ty, u diab ł a, wyrabiasz? - denerwowa ł si ę Boyd. - Gabe o niczym nie wie, tak? Nie ma zielone- go pojęcia, że odzyska ł a ś pamie ć?! Czy zdajesz sobie spraw ę, na jakiego kretyna wyszed ł em?

- Tak - powiedzia ł a A.J.

- Powiem ci, że powinienem... - pot ę ż ny grzmot zag ł uszy ł jego s ł owa - ... bo w ł a ś ciwie czemu nie? Czemu nie, do cholery?

- Boyd, pos ł uchaj. - A.J. drża ł a z zimna. Absolut- nie nie by ł a odpowiednio ubrana. - Wiem, że to mo że wy... wygl ą da ć dziw... dziwnie - szcze ka ł a z ę bami - ale musz ę mie ć troch ę czasu. Powiem Gabe'owi wszystko... ale jeszcze nie teraz.

- Czemu? Dlaczego ukrywa ć to przed nim? Nie widz ę ani jednego powodu, dla k tórego Angel Co- naught mog ł a by chcie ć pozostawa ć w takim Ophir

z mężczyzną, którego prawie wcale... - urwał nagle. - No, może znalazłbym jeden powód. Czy ty i Gabe...?

- To nie jest tak jak myślisz. - Objęła się ramionami, tupiąc dla rozgrzewki nogami. - To znaczy, to jest możliwe... ale nie tylko o to chodzi. Przez kilka ostatnich dni, nawet po tym wszystkim, co mnie spotkało, myślę, że byłam... - Śmieszne, jak trudno wyrazić to słowami. - Myślę, że byłam szczęśliwa. Nie przejmowałam się swoim strojem, fryzurą czy makijażem. Nie spotkałam żadnego wścibskiego dziennikarza, nie słyszałam natrętnego telefonu, nie patrzyłam w lustro. Dla Gabe'a musiałam być prawdziwym dopustem bożym. Pozwolił mi używać swojej szczotki do włosów, nosić swoje ubrania, dał się namówić na zbudowanie najokropniejszego nadrzewnego domu...

- Zauważyłem go - rzucił Boyd. - Wygląda bardzo solidnie. Wiesz, gdyby zdarzyła się wielka powódź, byłoby to wspaniałe schronienie. Nie, nie odbiegajmy od tematu. Co z twoimi przyjaciółmi, rodziną? To trochę nie w porządku zostawiać ich bez żadnej wiadomości... Na pewno martwią się o ciebie okropnie.

- Na pewno nie. - A.J. potrząsnęła głową. - Z najbliższej rodziny została mi już tylko cioteczna babcia. Ale ona mieszka w Londynie. A moi przyjaciele nigdy nie martwią się o mnie. Przywykli do tego, że dla kaprysu znikam bez słowa. Boyd, nawet nie wiesz, jakie to dla mnie ważne. Potrzebuję jeszcze trochę czasu, odrobinę, by spojrzeć na siebie oczami Gabe'a

Coultera. Wbrew pozorom wcale nie myślę tylko o sobie. Tym razem nie jestem egoistką. Myślę, że jest przy mnie szczęśliwy. Czy uwierzysz, że minionej nocy sprawiłam, że śmiał się?

- Niemożliwe. Głośno?

- Aż do łez. Może więc mój pobyt tutaj nie jest dla niego aż takim nieszczęściem?

- W głowie mi się mąci. Najpierw nie pamiętałaś niczego i przerażało cię to śmiertelnie. Teraz przypomniłaś sobie całe swoje życie, ale chciałybyś o wszystkim zapomnieć. Niczego nie rozumiem. Dobrze. Wygląda na to, że wiesz, co robisz. - Spojrzał na nią uważnie. - Mam rację?

- Chyba tak.

- No, to życzę ci powodzenia. Lepiej już pójdę, nim rozpęta się burza. - Zeskoczył z werandy wprost na kamienistą drogę. Wylądował na ostrym odłamku skalnym i zaklął cicho. - Tym mokasy-
nom brakuje jednak podeszew - powiedział. - Całe stopy mam sine i obolałe. Jak Indianie znoszą taki ból?

- Cześć, Boyd. - Spróbowała się uśmiechnąć, lecz zmarznęte wargi ułożyły się w dziwny grymas. - Dziękuję za wszystko.

- Będziemy w kontakcie. - Ruszył przed siebie. Po chwili odwrócił się i krzyknął:

- Naprawdę rozśmieszyłaś Gabe'a Coultera?

- Śmiał się do rozpuku.

- Może rzeczywiście wiesz, co robisz.

Wrzody Gabe'a znów dały o sobie znać.

Wypił wprost z butelki duży łyk lekarstwa, które przywiózł z miasta, i wstawił ją do lodówki. Lekarstwo! pomyślał z odrazą. Nie potrzebował go już od tyłu miesięcy. Co się stało? Odpowiedź była bardzo krótka. Zawierała tylko dwie litery.

A.J.

Rozmowa z Theo niczego nie wyjaśniła. Nikt odpowiadający rysopisowi A.J. nie figurował w spisie osób zaginionych. Nie było żadnej wzmianki o kimś podobnym.

- Pozostaje nam tylko czekać, Gabe.

Sęk w rym, że Gabe nie był pewien, jak długo może czekać. Każdy człowiek ma jakąś granicę wytrzymałości, a on był już właśnie niebezpiecznie blisko swojej. Przemęczył się całą bezsenną noc, zlewany raz po raz zimym potem. Stoczył w łóżku wojnę z samym sobą i z tą niezachwianą pewnością, że gdyby tylko wstał i poszedł do sypialni A.J., ona nie odrzuciłaby go. To było najgorsze, najtrudniejsze. Dlatego wymknął się z samego rana i pojechał do Theo, zanim jeszcze A.J. wstała.

Trzasnęły drzwi i mięśnie napięły mu się gwałtownie, a wrzody ponowiły atak. Do kuchni weszła A.J. Wyraźnie unikając jego wzroku, podeszła do stołu. Zajrzała do papierowej torby, sprawdzając jej zawartość. Teraz dopiero zauważył, że miała na sobie tylko bluzeczkę bez ramiączek i że była bosa.

- To nie jest strój na taką pogodę - powiedział. - W tych stronach z nadejściem burzy temperatura po-

trafi opaść gwahownie. Powinnaś włożyć dres i jakieś skarpety.

- Nie mam żadnych skarpet, a dres jest mokry. Uprałam go dziś rano. Nie martw się, nie używałam żadnego wybielacza ani gorącej wody. Wcale go nie zniszczyłam.

- Czy ja się martwię? Każdy może sobie zrobić małe pranko. Chodź, znajdę ci coś cieplejszego.

- Żona Theo przysłała szlafrok, który...

- ...przypomina plandekę na samochód.

Bez słowa poszła za nim do jego sypialni. Z niepokojem gryzła wargi. Serce łomotało jej w piersi. A co będzie, jeśli Gabe pozna, że myszkowała po jego pokoju? Nie był chyba w najlepszym humorze.

- Mam tu parę długich kalesonów. Będą świetne.

- Sięgnął do szafy na półkę. - Proszę, jakie szykowne. Będzie ci w nich ciepło.

To chyba nie był jednak przypadek, że wyposażył ją w strój tak bezkształtny i odpychający.

- Ciepło - powtórzyła szeptem, trzymając w dwóch palcach grubą bawełnianą dzianinę. Dla kobiety ubierającej się na co dzień u najmodniejszych krawców z Paryża było to nie lada wyzwanie. Mogła jeszcze znieść wzorzyste tkaniny. Ale czy na pewno chciała, by Gabe oglądał ją w długich, jaskrawoczerwonych kalesonach? - To chyba nie mój rozmiar. Nie będą pasować.

- Nie muszą. - Zaśmiał się. - Mają cię rozgrzać.

Mężczyźni!

- Zaczekam jeszcze trochę i włożę dres...

- Do tej pory będziesz już lodowym soptem. Posłuchaj. Słyszysz deszcz walący o dach i wiatr wyjący za oknem?

Usłyszała.

Zupełnie jakby trzysta wściekłych wiewiórek waliło w miedziany dach maleńkimi młoteczkami. A za oknami sosny gięły się pod gwałtownymi podmuchami wichury.

- Rzeczywiście. Pogoda chyba się popsuła - przyznała A.J.

- Fakt. Ale mamy szczęście. Wiesz dlaczego? Ponieważ możemy ugotować sobie wielki gar gulaszu, rozpalić wspaniały ogień na kominku i włożyć stare dobre kalesony.

- Tylko że to nie ty masz włożyć stare dobre kalesony, ale ja, prawda? - mruknęła.

Ileż dałbym, by móc ci je potem zdjąć, pomyślał.

Spuścił głowę i powoli liczył do dziesięciu, dwudziestu...

- Czemu ruszasz ustami? Gabe? - spytała zdziwiona. - Co ty robisz, do diabła?

- Powoli... tracę... rozum - rzekł z błyskiem w oku. - I mów do mnie: panie Coulter, psiakrew!

Nim zdążyła powiedzieć cokolwiek, wyciągnął z szafy białą bawełnianą koszulkę.

- Proszę. Możesz to włożyć na wierzch. Ten styl jest bardzo modny w Ophir w obecnym sezonie. Kiedy przebierzesz się, możemy uciąć sobie miłą pogawędkę przy kominku.

- Przy kominku? - Ścisnęła fragmenty ubrania

z bardzo żalowaną miną. - Nie można gawędzić przy kominku w samym środku dnia.

- Dlaczego?

- Bo... bo nie ma ognia, przy którym można by gawędzić.

- Ogień! Zaraz rozpalę, zgoda?

- O czym chcesz rozmawiać?

- Wiesz, A.J., mógłbym przypuszczać, że masz coś na sumieniu i coś przede mną ukrywasz.

- Czemu miałabym mieć coś na sumieniu? - spytała cieniutkim głosem.

- Ty mi to powiedz. - Gabe zacisnął usta w cienką linię. - Czy ma to coś wspólnego z Boydem? Kiedy wróciłem z miasta, wyglądaliście jak para gołąbków. Przytulaliście się na kanapie jak dzieciaki. Jak dzieciaki - powtórzył ponuro.

- Nie myślisz chyba... chyba nie przypuszczałeś, że ja i Boyd... że my... - zaniemówiła. Wybuchnęła śmiechem, kryjąc twarz w starych dobrych kalessonach. - Ja z Boydem - prawie płakała z rozbawienia. - Z Boydem! Jest pan cudowny, panie Coulter. Oj, nie wytrzymam. Jesteś zazdrosny, jesteś zazdrosny, zazdrosny. ...

Tego było już za wiele. Zaklął i wybiegł z pokoju. Lecz jej śmiech słychać było w całym domu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Był bez wątpienia najbardziej wzruszającym okazem człowieka.

Tak przynajmniej myślał o sobie, gdy rozpalony przez niego ogień zamienił pokój w parową łaźnię. I to czemu? Z powodu zwyczajnej zazdrości. Jak dzieciak! Stracił panowanie nad sobą i kopnął w futrynę. Bogu chwała, że A.J. nie mogła zobaczyć tego palca, który wyciągnął w jej stronę w obraźliwym geście. Nic powagi, żadnej godności.

Co teraz?

Spojrzał w strzelające wysoko płomienie. Ujrzał jej twarz i nabrzmiałym od bólu głosem wyszeptał:

- Kocham cię.

Na odgłos kroków poderwał się na równe nogi. Do pokoju weszła A.J. ubrana w długie czerwone kalessony i ogromną białą koszulkę. Grube skarpety, przynajmniej o dwa numery za duże, ciągnęły się po podłodze jak buty cyrkowego klauna. Jej drobna postać zupełnie zginęła w fałdach, zwałach i kłębach dzianiny. Widoczna była tylko jej głowa, szyja i ramiona. Reszta przypominała bezkształtną masę.

Nim zdołał wykrztusić słowo, A.J. powiedziała:

- To pan mnie w to ubrał, panie Coulter. Pan po-

wiedział, że nie jest ważne, czy ubranie będzie pasować, byle grzało. Ale jeśli uśmiechnie się pan tylko, jeśli nawet tylko pomyśli, by się zaśmiać... zapłaci pan za to. Chcę, by mnie pan dokładnie zrozumiał. Jestem teraz niezwykle drażliwa.

Zdumienie odebrało mu mowę. Automatycznie po kiwał tylko głową. Ogromnymi jak spodki oczami szukał ukrytej w fałdach tkaniny figury A.J. Cichy dźwięk duszonego ze wszystkich sił śmiechu wyrwał mu się z gardła.

Twarz A.J. pokryła się rumieńcem.

- Nawet nie próbuj - powiedziała cicho.

Starał się. Próbował, ile miał sił. Dusił, dławił, gniótł to w sobie... Nie dał rady. Ryknął śmiechem, aż szyby w oknach zadrżały. Zgiął się w pół. Zwinął w rogalik.

Spojrzał na nią. Nigdy mi nie przebaczy, pomyślał.

- Po... posłuchaj - wykrztusił. - Musisz mnie wysłuchać. Chcę ci powiedzieć, że... kocham...

Ale A.J. - a raczej Angel Conaught - nie miała doświadczenia, jak być cierpliwą i wyrozumiałą. Nie przywykła, by śmiano się z niej. Nie lubiła tego. Wprost nie cierpiała! Zacisnęła pięści, aż pobieleły jej kostki. Szeroko otwarte oczy miały błyskawice. Serce tłukło się jej w piersi jak oszałe.

Choć tego akurat pod fałdami ubrania i tak nie było widać.

W jednej chwili znienawidziła go. Tak bardzo, jak go dotąd kochała. Zdobyła się na ostatni wielki wysiłek i powiedziała opanowanym głosem:

- Sam pan tego chciał, panie Coulter.
I wyszła dumnie, wlokąc za sobą zbyt długie skarpety.

Resztę dnia spędziła w swoim pokoju. Gabe kilkakrotnie pukał do drzwi, lecz nie odezwała się. Zapraszał ją na obiad, proponował, że przyniesie jej gulasz do pokoju. Nic nie pomogło. Wyszedł nawet przed dom i próbował zajrzeć przez okno, ale i tak nic nie zobaczył - nie zapaliła światła. Przycisnął nos do mokrzej od deszczu szyby i dostrzegł jedynie niewyraźną sylwetkę zawiniętą w koc, leżącą na łóżku.

W głowę zachodził, jak do tego doszło? Czemu nagle wszystko ułożyło się tak fatalnie? W końcu uznał, że to wina Boyda. Niech go diabli!

Wrócił do domu przemoczony i zmarznięty. Mokra koszula oblepiała mu plecy i ramiona. Wziął gorący prysznic. Dwa razy zakręcał wodę, bo wydawało mu się, że A.J. puka do łazienki.

Wracając do sypialni, z przewiazanym wokół bioder ręcznikiem, zatrzymał się przed jej drzwiami. Stał, nie wiedząc, co zrobić. Wyszeptał jej imię. Cisza. Spróbował głośniej. Nic z tego. Była naprawdę wyjątkowo uparta.

Z zaciśniętymi zębami i pięściami wszedł do swego pokoju. Marzył tylko o tym, by ogień trawiący jego ciało przygasł, osłabł nieco. Nie zapalał światła. Cisnął w kąć ręcznik, którym był owinięty.

Wściekle zerwał z łóżkę narzutę i położył się, okryty prześcieradłem. Nagi i zmarznięty. Może to mu pomoże.

Przewracał się na łóżku, waląc pięściami w poduszkę, kopiąc prześcieradło. Wtulił mokrą głowę w ramiona i nagle., poczuł, że nie jest w pokoju sam.

Ktoś siedział na krześle.

Poderwał się gwałtownie. Noc była ciemna, bezksiężycowa. Lecz złote włosy A.J. lśniły w mroku.

- Cześć - szepnęła. - To tylko ja.

Tylko ty, pomyślał boleśnie. Nie mógł się poruszyć.

- Chyba skończyła mi się odwaga - powiedziała.

Deszcz i wiatr hałasowały za oknem, lecz w pokoju panowała cisza. Gabe czuł, że zaschło mu w gardle. Tego właśnie pragnął i jednocześnie bał się tak bardzo.

- Jeśli każę ci odejść - szepnął - posłuchasz mnie?

Nie odpowiedziała, lecz dojrzał, że przecząco pokręciła głową.

- Nie wiesz, co robisz. - Nigdy w życiu nie powiedział czegoś równie szczerze.

- To nic nowego - odparła drżącym głosem. - Ale przynajmniej wiem, czego chcę. A to już postęp, nie sądzisz?

- Nie - wykrztusił. - To moja sprawa. Mój problem, A.J. Nie licz na moje...

- Nie chcę już dłużej tego słuchać. - Wstała nagle.

- Nie liczę na ciebie. Potrzebuję cię. Pragnę.

Poczuł oblewające go gorąco. Prześcieradło grzało jak wełniany koc. Gruby i ciężki. Zapragnał zrzucić je. Jakby na przekór jego dłonie mocniej przycisnęły płótno do nagiego ciała. Jeszcze nie było za późno. Dzieliły ich trzy metry. Mógł ją ocalić.

- Posłuchaj mnie - rozkazał przez zaciśnięte zęby.

- Posłuchaj mnie uważnie - powtórzył głośniejszym głosem, uderzając pięścią w łóżko.

- Słucham przecież. - Stała bez ruchu.

Cholera, cholera, cholera, cholera!

Zamknął oczy. Spuścił nogi na podłogę, jakby próbując odzyskać równowagę. Szukając oparcia.

Dziecino, pomyślał, nie widzisz, co chcę zrobić?

- Jesteś tak daleko - usłyszał swój głos.

Wydało mu się, że usłyszał łomot jej serca, gdy zbliżała się nieśmiało. Na mgnienie oka błyskawica rozjaśniła sypialnię. Miała na sobie jego starą niebieską bluzę od dresu i... nic więcej. Grzmot i wycie wiatru zadźwięczały dziko.

- Nieładnie, że śmiałaś się ze mnie.

- To prawda.

Była coraz bliżej. Widział jej palce mnące nerwowo brzeg bluzy.

- Nie powinienesz być.

- To się już więcej nie powtórzy - przyrzekł.

- Nie wierzę ci. - Umilkła. - Gabe?

- Tak? - Siedział na brzegu łóżka bez ruchu.

- To... nie jest dla mnie łatwe. Czy mógłbyś...

Chciałabym, żebyś...

Gdy stała tuż przed nim, speszona i drżąca, wyglądała tak młodo. Wstał powoli, gniotąc w zaciśniętej pięści skraj prześcieradła. Serce ścisnęło mu się rozpaczliwą, beznadziejną potrzebą ulżenia jej cierpieniom, ukojenia lęku.

- Wiem, kochanie - szepnął. - Wiem.

Westchnęła i uśmiechnęła się. Uśmiechem, któ-

ry ujrzał w jej oczach, nim jeszcze pokazał się na wargach.

- Zrób więc ze mną, co zechcesz - powiedziała po prostu.

Gdy otworzył ramiona i prześcieradło opadło z cichym szelestem na podłogę, poczuł, że ogarnia go szaleństwo, żądza i niepewność.

- Zrób ze mną, co zechcesz - powtórzył jej słowa.

I padła mu w ramiona, przytuliła policzek do jego piersi, objęła go mocno, jakby robiła to już przedtem setki razy. Kiwali się łagodnie z zamkniętymi oczami, jakby to burza chwiała całym domem. Trwali tak, bo nie musieli już spieszyć się do niczego. Co miało być, stało się.

A.J. uniosła głowę, szukając wzrokiem jego spojrzenia. Ujęła w ręce twarz Gabe'a i powiedziała:

- Wciąż jestem zbyt daleko od ciebie. Mam na sobie te okropne rzeczy.

- Jedną bluzę? - Delikatnie pocałował ją w czoło.

- O jedną bluzę za wiele. - Cofnęła się o krok i wyciągnęła ręce. - Proszę mi pomóc, panie Coulter.

Gabe przełknął ślinę.

- Pan Coulter będzie miał zaraz zawał serca - powiedział.

Pomógł jej jednak. Drżącymi rękami ściągnął z niej bluzę i odrzucił jak najdalej. Niech zniknie im z oczu! Przyłgnęli do siebie z cichym jękiem. Gabe głaskał ją delikatnie. Poczwała go. Wyraźnie. Z przymkniętymi oczami i rozchyłonymi wargami ocierała się o niego

całym ciałem. Pragnęła go aż do bólu... aż do granic wytrzymałości.

- Spójrz na siebie - szepnął Gabe głucho. - Och, spójrz na siebie. Jesteś taka młoda, taka piękna. Boję się dotknąć ciebie.

Wplotła palce w jego długie włosy.

- Już mnie chyba dotykasz, nie sądzisz? - Przyłgnęła do niego biodrami.

- Chyba. - Objął jej kibić. - Taka maleńka - mruknął. Uniósł dłonie i położył je na jej piersiach.

- No, może nie wszędzie. Tu i ówdzie jesteś całkiem... wyrośnięta.

- Wyrośnięta - powtórzyła z upodobaniem. - Podobają mi się to słowa. Czuję się taka wyrośnięta. Chcę otworzyć się i dać ci, ofiarować...

- Zawał serca - roześmiał się. Całował jej szyję raz za razem, delektując się jedwabistą gładkością skóry. A.J. była taka delikatna, krucha. Nie chciał jej skrzywdzić, zranić, przestraszyć. Chciał dać jej, ofiarować...

- Kocham cię - wyszeptał. Było w tych słowach wszystko. Szczęście i ból, a także niezwykle pragnienie. Obsypał ją pocałunkami. Ramiona, kark, szyję...

Nie zasłużył na tyle szczęścia. Bóg tylko wiedział, czemu dał mu tę szansę.

- Nigdy cię nie skrzywdzę. Nigdy.

- Wiem.

Zagryzła wargi, gdy poczuła jego gorące usta na piersi. Kąsał ją delikatnie, drażnił językiem, a ona dotykała, głaskała jego twarde ramiona i plecy. Z zaciśniętymi powiekami uczyła się jego ciała, odkrywała

je. Nie mogła wydobyć z siebie słowa. Zresztą i tak nie istniały takie, które mogłyby oddać jej uczucia.

Oddychała ciężko. Czuła drżenie i słabość kolan. I pocałunek. Namiętny, głęboki. W niezwykle sposób naśladowający akt miłosny. Gabe przylgnął do jej gładkiego ciała. Przyciskał się do niej, napierał... Uniósł ją do góry i opadli na łóżko. Toczyli się po nim tam i z powrotem. Był nad nią, pod nią i znów nad nią...

Gdzieś tam, na dworze, padał deszcz, grzmoty przetaczały się przez góry, a błyskawice rozcinały granatowe niebo. A tutaj, w ciemnej sypialni Gabe'a, szalała inna, cichsza, lecz stokroć potężniejsza burza.

Starał się za wszelką cenę być ostrożny i delikatny, lecz z wolna przestawał być panem swoich zmysłów. Pożądał każdego skrawka jej ciała. Pieścił i całował. Była. Leżała z rozchyłonymi udami, obejmując go mocno.

Zastygli w bezruchu oszołomieni szczęściem. Nie odrywając oczu od A.J., uniósł jej biodra. Przy każdym ruchu szeptała, krzyczała:

- Och, proszę... To jest... cudowne... nie przedstawaj ...

Aż w końcu poczuła go w sobie... I niezwykła rozkosz zapierała jej dech w piersiach.

Gabe patrzył na nią z zachwytem. Była piękna. Ileż razy marzył o takiej chwili.

Chciał być delikatny, lecz zbyt długo żył samotnie. Zbyt długo. Płomień pożądania pochłaniał go bez reszty. Spopielał. Wciąż przypominał sobie, powtarzał, że ona jest taka krucha i delikatna... A tymczasem

czuł wyraźnie, jak wychodziła mu naprzeciw. Zdziwiało go to i podniecało. Poczł, że AJ pragnie go z tą samą mocą jak on jej.

Na mgnienie oka znieruchomieli. A potem z bolesnym jękiem runęli w bezkres rozkoszy. Gabe drżał cały, przyciskał A.J. mocno, gwałtownie. Szukał wzrokiem jej oczu, zadowolony cudem, którego doświadczył.

Gdy wreszcie mógł już myśleć i mówić, dotknął drżącą dłonią jej twarzy i wyszeptał:

- Wybacz mi. Tak bardzo chciałem zaczekać, aż ty...

- Nie wiedziałam... Myślałam, że byłam pierwsza.

Choć nadal przytłoczona jego ciężarem, wciąż napierała na niego, prężyła się niecierpliwie. I Gabe wiedział już wszystko. Głuchym głosem, lecz tonem swobodnej konwersacji powiedział:

- W takim razie teraz moja kolej.

A.J. spała cichutko jak dziecko. Za oknem szalała burza, a oni leżeli spleceni w uścisku wśród skotłowanej pościeli. Gabe patrzył na uroczy nosk A.J., czuł jej miękkie włosy na policzku. Oddychała głęboko, spokojnie. A gdzieś wśród zmietoszonych prześciera-
deł ich dłonie trwały splecione w uścisku.

W takiej chwili, pomyślał, niemal wierzę, iż może to trwać wiecznie. Że będę leżał obok niej każdej nocy przez całe życie. Nakryją... tak jak teraz. Czasem wymknę się cichcem i przyniosę jej śniadanie do łóżka. Grzanki. Potem będziemy spacerować. Pokażę jej

wszystkie moje ulubione zakątki... pastelowe kolory wiosny i intensywne barwy jesieni w górach. A ona będzie zrządziła, że znów nie splukałem umywalki. Niebawem wyzbędę się wszystkich nawyków wieloletniego samotnika. I naprawię stół w kuchni, żeby już się nie kiwał. Tak, to jest bardzo ważne...

A ona zostanie ze mną na zawsze. Nigdy mnie nie opuści.

Nagle, zupełnie jakby usłyszała jego myśli, A.J. otworzyła oczy. Przez długą chwilę leżała nieruchomo, patrząc na niego uważnie. Potem uniosła głowę i pocałowała go w czubek nosa.

- Dobranoc, panie Coulter - szepnęła.

Przeciagnęła się leniwie, ocierając się o niego jak kotka.

- Śpij słodko, kochanie - mruknął. Głaskał ją po karku, po plecach, niżej i niżej. - Ale żeby mieć pewność...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pożar! Pali się!

Nie. Gabe zrozumiał wszystko, zanim jeszcze otworzył oczy. To A.J. była w kuchni i znowu zabawiła się piecykiem. I... no tak. Znowu było włączone radio. Tym razem słychać było skoczną i głośną poleczkę. Jak ona je, u licha, znalazła? Przecież starannie ukrył tego grata w starym pudle na samym dnie szafy.

Choć wiedział, że lada chwila wielki wybuch może przenieść ich do innego świata, nie spieszył się. Przeciągnął się, wspominając rozkosze minionej nocy. Uśmiechnął się. Ona tu była, kochała go, a on kochał ją. Cuda się zdarzają!

Ale piecyk może eksplodować.

Wciągnął dżinsy i pospieszył do kuchni ratować panią swego serca.

Tak jak przypuszczał, produkcja grzanek szła pełną parą. Przez kłęby czarnego dymu z trudem dostrzegł A.J. pochyloną nad patelnią.

- Nie byłoby lepiej zmniejszyć trochę płomień?
- spytał, tłumiąc ziewanie.

Spojrzała na niego przez ramię z krzywym uśmiechem.

- Jeśli ci za gorąco, możesz wyjść z kuchni - po-

wiedziała, groźnie ściągając brwi. - Dzień dobry, panie Coulter.

- Zmniejsz płomień, kochanie - poprosił, widząc jej włosy niebezpiecznie blisko ognia. - Nisko przelatujący samolot może pomyśleć, że nadajemy dymne sygnały, wzywając pomocy.

Skrzywiła się, lecz posłusznie wykonała polecenie.

- Niepotrzebne mi twoje złośliwości. Oczekuję raczej gratulacji. Rozpaliłam piecyk jedną zapałką. A byłam przygotowana na zużycie tuzina. Coraz lepiej mi idzie, nie uważasz? Mniejsza z tym. Za to mamy grzanki.

Gabe uśmiechnął się, z ciekawością patrząc na dymiącą patelnię.

- Już nie mamy - stwierdził.

- Aha, jest jeszcze sok. Zauważyłam, że nie pijasz pomarańczowego, więc wyjęłam z zamrażarki grejpfrutowy. Jestem wyjątkowo troskliwa, nie uważasz?

- Bardziej niż myślisz - rzekł rozmarzony, chłonąc prześliczny widok. Troskliwa kucharka miała na sobie flanelową koszulę i przepasana była białą ściereką do naczyń. Ten prowizoryczny fartuszek sprawił, że koszula stała się wyjątkowo kusą sukieneczką. Niezwykle kusą. - Bardzo, bardzo troskliwą. Dzień dobry.

- Jak się masz? - spytała, nie odwracając się.

- Całkiem nieźle. A ty? - Nie mógł oderwać od niej oczu.

- Zupełnie dobrze, dziękuję - zachichotała.

- AJ?

- Słucham, panie Coulter?
- Odłóż widelec - powiedział. - Proszę.

Wahała się przez moment. Potem powoli odwróciła się do niego, wycierając dłonie w ściereczkę.

- Już odłożyłam.
- Chcę ci powiedzieć...
- Chcesz mi powiedzieć...? - ponagliła go z uśmiechem.

Wpatrzeni w siebie, mrużyli oczy z powodu blasku zagląającego do kuchni słońca. Gabe próbował znaleźć słowa, które mogłyby opisać jego uczucia. Nigdy jeszcze rano po podobnie spędzonej nocy nie był taki... uroczy i pogodny.

- Gdybyś wyłączyła to cholerne radio, mogłabyś usłyszeć bicie mojego serca - powiedział w końcu.

Przygryzając wargi, przyciszyła muzykę. Nic, naprawdę żadne inne słowa nie mogły sprawić jej większej radości.

- Znalazłam inną stację - powiedziała. - Wiem już, że nie lubisz słuchać rocka... zwłaszcza po przebudzeniu. Postanowiłam więc, że dziś posłuchamy czegoś innego.

Nic, naprawdę żadne inne słowa nie mogły sprawić mu większej radości.

- Czyli od dziś budzimy się w rytmie polki?
- To dopiero początek.

Ciepło bijące od piecyka wymalowało na jej buzi mocne rumieńce. Gabe poczuł nagle żal, że nie jest poetą i nie umie opisać tego, jak swoją obecnością rozjaśniła mrok jego życia. Powiedział więc tylko:

- Uwielbiam cię. Kocham cię. Kocham cię tak mocno...

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki A.J. rzucała mu się w ramiona, ni to śmiejąc się, ni łkając.

- I ja cię kocham! - krzyknęła. Całowała go raz po raz. - Miniona noc była najwspanialszą rzeczą, jaka zdarzyła mi się kiedykolwiek. Ty także jesteś najwspanialszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Uwielbiam cię. Zawsze, zawsze...

Zamknął ją w ramionach i przytulił z całych sił.

- Powiadasz, że jestem najwspanialszym ze znanych ci ludzi? Przecież nie pamiętasz, co było przedtem.

Zawahała się, po czym uniosła głowę.

- Wiem. To prawda - powiedziała.

Jedna zwęglona grzanka leżała na stole, następne paliły się na patelni. Oni zaś całowali się. Mocno, głęboko, namiętnie i żarliwie. Gwałtownie rozpinali guziki i suwaki. Rzucali na podłogę fragmenty ubrania, jak kochankowie po bardzo długim rozstaniu. Każde dotknięcie przywoływało na pamięć uniesienia minionej nocy. Jak reakcja łańcuchowa wywoływało następne, które obiecywały kolejne. Leżeli na kuchennej podłodze wymoszczonej flanelą i drelichem. Ufali sobie bezgranicznie, lecz to i tak było bez znaczenia. Pograżali się w ślepej namiętności, zapadali się w otchłań pożądania.

Skoczna poleczka jest jednak zupełnie nie docenianym tańcem, pomyślał Gabe dużo, dużo później.

- Czterdziestoletni mężczyzna nie powinien kochać się na podłodze w kuchni - powiedział. - Traci w ten sposób godność.

A.J. uśmiechnęła się do pozbawionego godności czterdziestolatka. Na szczęście nie byli już w kuchni. Leżeli na łóżku w jej sypialni. Znajdowała się najbliższej kuchni, a drewniana podłoga była jednak trochę niewygodna.

- To okropne. Cała jestem poobijana i podrapana. I to w zupełnie nieprawdopodobnych miejscach.

- Przed północą rozleczę się na kawałki, jeśli nie zostawisz mnie w spokoju.

- Ani myślę. Gorąca kąpiel, dobry masaż i zaraz będziesz jak nowo narodzony.

Zakrył oczy rękami w geście rozpaczy, ale usta wciąż uśmiechały się promiennie.

- Och, siło młodości! - rzucił.

- Panie Coulter! - Dała mu kuksańca. - Zaczynam mieć już dość tych utyskiwań na temat pańskiego wieku. Nie jest pan w końcu tak wiele starszy ode mnie.

Rozsunął palce i przez szparę spojrział na nią jednym okiem.

- Doprawdy? A skąd ty to możesz wiedzieć, mój słodki głuptyś? Od chwili, gdy straciłaś pamięć, postarzałaś się mniej niż o tydzień.

Przez moment nie mogła wykrztusić ani słowa. Wiedziała, że zwlekała już zbyt długo z wyjawieniem mu prawdy. To była wymarzona chwila, by wyjaśnić wszystko.

I powinna była, naprawdę powinna była znaleźć

w sobie dosyć odwagi... I zrobiłaby to na pewno, gdyby nie przeszkodziło jej niespodziewane łomotanie do drzwi wejściowych.

Gabę zaklął, wygrzebał się z pościeli i całkiem nagi ruszył przez pokój.

- Wrócę niebawem - rzekł swobodnym tonem. - Dam tylko Boydowi parę razy po gębie.

- Ubranie! - krzyknęła A.J. - Twoje spodnie są...

- ..na podłodze w kuchni. - Rzucił jej przez ramię zabójcze spojrzenie. - Pamiętam.

A.J. opadła na poduszki, okrywając się prześcieradłem. Nagle zrobiło się jej zimno. Rzeczywistość zaskoczyła ją jak uderzenie po twarzy. Boyd. Bóg wie, czemu wrócił? Obiecał dać jej trochę czasu. Nie minął jeszcze nawet jeden dzień. Mniej niż dwadzieścia cztery godziny na to, by mogła poczuć się kochaną dla samej siebie. Czy prosiła o zbyt wiele?

Wstała z łóżka i szybko ubrała się w swoje suche już jedwabne ciuszki. Wszystko było potwornie wymięte. Nieważne. Byle tylko powstrzymać Boyda. Oby tylko nic nie powiedział Gabe'owi.

W kuchni nie było nikogo. W salonie również. Tylko z werandy dobiegało złowieszcze skrzypienie huśtawki. Szarpnęła drzwi i wypadła z domu, dysząc ciężko.

- Pali się? - spytał Gabe. - Znowu bawiłaś się piecykiem?

Był sam. Siedział na huśtawce z dziwnym wyrazem twarzy. Odpychał się jedną nogą, wprawiając huśtawkę w monotonne kołysanie.

- Gdzie jest Boyd? - zawołała, rozglądając się nerwowo po okolicy. Omiotła spojrzeniem nawet wierzchołki drzew. - Był tu? Dokąd poszedł?

- Tak. To był Boyd. Pogawędziliśmy chwilę. Pożyczyłem mu piłę motorową i poszedł sobie.

Jego głos! Czy zdawało się jej tylko, czy naprawdę brzmiały w nim groźne nuty?

- Nie był tu zbyt długo - powiedziała głucho.

- Nie. - Przez długą jak wieczność chwilę przyglądał się jej spod oka. - Wiesz, w kobiecym stroju wyglądasz na zupełnie inną osobę - powiedział w końcu.

- O Boże! - wyszeptała.

Wiedział. Boyd wygadał wszystko. Co teraz? Jak wytłumaczyć posiadanie aż pięciu narzeczonych? W jaki sposób przekonać Gabe'a, że przeżycia ostatnich dni całkiem ją odmieniły i jest już absolutnie kimś innym? Wszystko się zmieniło. Wszystko.

- Usiądź - powiedział cicho, robiąc jej miejsce obok siebie. - Musimy poważnie porozmawiać.

Angel Conaught nigdy nie potrafiła „poważnie rozmawiać”. Wystraszona, unikała spojrzenia Gabe'a.

- Nie zmarzniesz bez koszuli? - spytała. - Huśtawka jest chyba jeszcze wilgotna po deszczu.

- Słońce wstało już dawno. Jest całkiem sucho. Siądź obok mnie.

Usiadła sztywno, patrząc prosto przed siebie. Nie wiedziała, jak zacząć.

Ale to on odezwał się pierwszy. Słowa jak sztylety trafiały prosto w jej serce.

- Trudno mi o tym mówić - rzekł. - Powinniśmy byli porozmawiać, zanim sprawy zaszły tak daleko.

- Gabe, przed tobą...

- Nie przerywaj. Siedziałem tu, próbując poukładać to sobie w jakąś logiczną całość, więc nie przeszkadaj mi, bo nic z tego nie wyjdzie. Jest to prawdopodobnie najtrudniejsza rzecz, z jaką kiedykolwiek...

- Ja ci wszystko wytłumaczę!

Nie miała siły, by spojrzeć mu w oczy. Splotła dłonie na kolanach i wbiła wzrok w swoje stopy. Rozpacz i strach ścisnęły jej gardło.

- Przysięgam, że dopóki nie zobaczyłam wczoraj swojej fotografii w gazecie, nie wiedziałam, kim jestem. Naprawdę. Przysięgam. Chciałam powiedzieć ci, że przypomniałam sobie wszystko, ale tak dobrze było mi być nie znaną nikomu A. J. Dałam ci szczęście. Czyż więc było to takie złe, że przez jakiś czas nie chciałam psuć tego ujawnieniem prawdy? Nawet jeśli ty nigdy nie słyszałeś o Angel Conaught i jej wyczynach, to przecież zawsze mógł się trafić jakiś „życzliwy”. Nie twierdzę, że nie zasłużyłam sobie na to... ale nie aż do tego stopnia! Mam dopiero dwadzieścia cztery lata. Choćbym nawet chciała, nie mogłam dopełnić wszystkiego, o co mnie oskarżano. Brakłoby mi czasu. Chciałam, byś znał mnie taką, jaką jestem teraz, z tobą. Dlatego właśnie, gdy Boyd odkrył wczoraj, kim jestem, zabroniłam mu zdradzać tę informację. Potrzebowałam więcej czasu. To nie było w porządku, wiem. Ale chciałam jak najlepiej. Nie zdawałam sobie

sprawy, jak bardzo obrzydła mi Angel Conaught, dopóki nie stałam się A.J. Zgoda, nie byłam sympatyczna... Każdy z moich byłych narzeczonych może o tym zaświadczyć. Nawet w sądzie. Corwin faktycznie chce to zrobić. Nieważne. Gdy przypominałam sobie wszystko, pomyślałam, że to może tak miało być. Przyjazd Corwina z Los Angeles do Denver, kłótnia, bijatyka, moja ucieczka i wypadek samochodowy... Może to przeznaczenie sprawiło, że to ty właśnie mnie uratowałaś. Do dzisiaj nie wiem, w jaki sposób znalazłam się pod piknikowym stołem, ale...

Niespodziewanie dłoń Gabe'a zakryła jej usta. Usłyszała jego głos blisko, przy samym uchu:

- O czym... ty... do diabła, mówisz?!

Zmartwiła. Serce podeszło jej do gardła. Stało się. Spojrzała mu w oczy i z całych sił zacisnęła drżące wargi. Koniec!

- Poczekam - powiedział. - Mamy przed sobą cały dzień. Mnie się nie spieszy.

- Nic ci nie powiedział - wyszeptwała. - Boyd nie zdradził ci, kim jestem.

- Już ci powiedziałem. Boyd tylko pożyczył ode mnie motorową piłę.

Zdawało się jej, że spada w otchłań bez dna. Bez cienia szansy na miękkie lądowanie.

- Gabe, ja zamierzałam powiedzieć ci wszystko. Niedługo. Po prostu... nie wiedziałam, jak zacząć.

- Pomogę ci. - Oparł dłonie na kolanach. - Zacznij od samego początku i nie przerywaj, dopóki nie dojdiesz do końca. Chcę usłyszeć wszystko.

I tak się stało. Chociaż na pewno zaczęła od końca i zupełnie zaplątała się, dobrnąwszy do początku.

Banalna i zawstydzająca historia całego życia Angel Jordany Conaught.

Gabe słuchał jej relacji w skupieniu. Gdy A.J. wspomniała o „kilku” narzeczonych, aż poczerwieniał i żyły nabrzmiały mu na skroniach.

- To zaczyna być interesujące - powiedział z bliskim szaleństwa w oku. Wolno odwrócił głowę i spojrzał prosto na nią. - Zechciej mi zdradzić, jeśli to nie jest tajemnica, co może oznaczać „kilku”?

Zamilkła. Serce podeszło jej do gardła. Z trudem łykała łzy. Uniosła dłoń z wyprostowanymi palcami.

- Nie do wiary. - Niemal można było wziąć za uśmiech grymas na jego twarzy. - Naprawdę niesłychanie szybko ulegasz znudzeniu. Często zmieniasz obiekt swoich zainteresowań.

- Tylko w takich momentach ojciec zwracał na mnie uwagę. - Ze wszystkich sił przycisnęła ręce do szyi, jakby wierzyła, że powstrzyma w ten sposób szaleńcze bicie serca. - Im mniej odpowiedniego narzeczonego sobie wybrałam, na tym więcej zainteresowania mogłam liczyć. To było dziecinne i głupie... - głos jej załamał. - I całkiem typowe. Już ci mówiłam, że nie lubiłam samej siebie. Nie wiedziałam nawet, czemu robiłam to, co robiłam, aż do niespodziewanej śmierci ojca przed kilkoma miesiącami. Ale wtedy było już za późno na pokutę. Wszystko przepadło.

- D. Quinn Conaught. - Gabe z westchnieniem

przetarł oczy. - Słyszałem o nim, oczywiście, ale nie wiedziałem, że odszedł. Tak mi przykro. Musiało ci być bardzo ciężko.

- Wiesz, co było najgorsze? - szepnęła. - To okropne, wiem, ale... myślę, że nigdy naprawdę nie kochałam ojca. Chciałam, lecz... zawsze był taki zimny, obcy. Nie pamiętam, by choć raz przytulił mnie czy pocałował. I nie wiem, czy trudniej mi było pożegnać go na zawsze, czy pogodzić się z myślą, że już nigdy nie będzie okazji, by zmienić stosunki panujące między nami.

- Okazje - powiedział Gabe smutno. - Mało kto na świecie miewa takie szanse. To tak jak z cudami. Wspaniale marzy się o nich, lecz nigdy się nie zdarzają.

Przerażenie opuściło ją na moment. Nie wyczuła w jego głosie złości. Raczej... smutek. Siedział nieruchomo, wpatrzony gdzieś w dal. Podmuchy wiatru rozwiewały jego długie włosy.

- Gabe? Czy teraz, kiedy wiesz, kim jestem... czy coś się zmieni?

Milczał długo. Wreszcie spojrzał jej prosto w oczy i powiedział:

- Wszystko.

Poczuła ogromny ból.

- Co to znaczy?

Wstał gwałtownie.

- To znaczy, że jeszcze dziś wracasz do domu. Do swojego domu.

Drgnęła jak przypalona żywym ogniem.

- Nie mówisz tego poważnie, prawda? - wychlipała.

Stał bez ruchu z rękami w kieszeniach. Dotknęła go drżącymi palcami.

- Jesteś zły na mnie, rozumiem to. Ale musisz coś zapamiętać. Nieważne, jak się nazywam, nie ma znaczenia, skąd przybyłam i co zrobiłam. Wciąż jestem tą samą, którą pokochałeś.

Odsunął się gwałtownie.

- A ja wciąż jestem tym, którego pokochałaś. Niech to diabli... - Potrząsnął głową. - Musiałem zwariować. Żeby uwierzyć...

Wstała, cała drżąca. Przerażona.

Wszystko stracone!

- Ranisz mnie, Gabe. Uwierzyłeś w to samo co i ja. I wciąż jest to prawda. Przed nami jest całe życie.

- Przed nami? - Roześmiał się, aż echo poniosło głos wśród drzew. - Wszystko już jest za nami! Ubiore się tylko i zaraz odwiozę cię do miasta.

- Wcale tego nie chcesz! - krzyknęła rozdierająco. - Co chcesz zrobić, do cholery? Ukarać mnie? Przecież cię przeprosiłam. Powinna być powiedzieć ci wszystko wczoraj, wiem. Przepraszam!!!

Zakrył twarz jak płaczące dziecko. Lecz gdy spojrział na nią, jego oczy były przerażająco suche.

- A ja powinienem był wyznać ci, kim ja byłem - powiedział cicho. - I czym byłem.

Jak lunatyk wszedł do domu.

Kwadrans później nadjechał doktor Hombaker. A.J. leżała zwinięta w kłębek na huśtawce. Nie usłyszała warkotu silnika samochodu. Nie zauważyła doktora, dopóki ten nie stanął tuż przed nią.

- Szukasz towarzystwa? - rzucił wesoło. - Zgłasza się pewien niezwykle atrakcyjny facet.

Podniosła na niego zaczerwienione oczy. Spojrzał na nią uważnie i przestał się uśmiechać.

- Do diabła! Cholerny, przeklęty, głupi Gabe Coulter - powiedział. - Powinienem być przewidzieć. O, Boże! Gabe zawsze wszystko musi popsuć. Zawsze. Czy mam pójść i sprząć go? Chyba dobrze by mu to zrobiło.

Zawadiackie przechwałki miały rozweselić ją choć trochę, lecz A.J. nie była w stanie się uśmiechnąć. Nawet gdyby musiała i od tego zależało jej życie.

- On mnie tu nie chce - powiedziała żałośnie. - Teraz, gdy jestem sobą... nie chce mnie.

Doktor uniósł brwi ze zdziwienia.

- Powtórz raz jeszcze - poprosił.

- On już mnie tu nie chce. Wysłał mnie do domu.

- Dziecko, przecież nie wiesz, gdzie jest twój dom.

- Wiem - załkała. - Choć wolałabym nie wiedzieć. Byłam szczęśliwa, gdy nie wiedziałam, kim jestem. I on był szczęśliwy. Wszystko było takie cudowne. A teraz... on mówi mi, że nie wiem, kim on jest. Uważa, że wszystko między nami jest skończone. To nie ma sensu. Zupełnie nie wiem, co mam zrobić. Nie mogę zebrać myśli. Zmarzły mi nogi.

Doktor Hornbaker zdjął sweter i pieczołowicie owinął nim jej stopy.

- Nie zrozumiałem z twojej wypowiedzi ani słowa, ale wiem jedno. Nie wolno ci martwić się i rozpaczać. Jesteś moją pacjentką i muszę o ciebie dbać. Pójdę teraz porozmawiać z Gabe'em. Ale jestem już pewien. To wszystko jego wina. Ten facet to kawał upartego sukinsyna... Hm, przepraszam, nie to chciałem powiedzieć. Czasem bywa okropny, ale ma złote serce. Tak mi się przynajmniej wydaje. Siedź tutaj, dobrze? Spróbuję wszystko wyjaśnić. - Otworzył energicznie drzwi i odwrócił się do A.J. - Powiedziałaś, że przypominałaś sobie, kim jesteś? Kiedy to się stało?

- Wczoraj - odparła apatycznie. - Początkowo tylko strzępy, fragmenty... potem wszystko.

- No tak, to wspaniale. Powiedz mi więc, jak ci naprawdę na imię?

- Angel.

- Angel... - Westchnął i pokiwał głową. - Taka słodka dziewczyna, o tak pięknym imieniu... a on doprowadził cię do łez. Powinien się wstydzić.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gabe powiedział A.J. - Angel, że idzie tylko przebrać się i że zaraz potem odwiezie ją do miasta. Jednak gdy znalazł się w swoim pokoju, usiadł na brzegu łóżka i zacisnął dłonie na materacu. Pościel wciąż była w nieładzie, a wokół unosił się słodki zapach miłości.

Był głupcem.

Mówił to sobie już wiele razy, lecz nigdy dotąd nie było to aż tak bolesne. Tego ranka pozwolił sobie uwierzyć w cud. Że A.J. nie opuści go nigdy i będą żyli długo i szczęśliwie. Będą siadywać wieczorami przy kominku, a on nauczy ją łowić ryby... Że A.J. opanuje sposób używania piecyka bez wysadzania domu w powietrze. A nawet w to, że będą odbywać długie spacery po lesie, a on będzie zrywał dla niej kolorowe, pachnące kwiaty. Niemal czuł ich zapach.

Prawda zaś była taka, że Angel Conaught była od niego o szesnaście lat młodsza i o miliard dolarów bogatsza. A on był tylko cholernym zbiegiem, uciekinierem.

Nie, nie tylko.

Czuł się nagi, bezbronny. Gdzie podziła się skorupa, w którą schronił się dwa lata temu? Czemu miał wrażenie, że wydarto go z niej wraz ze skórą? A do

tego ten palący ból w żołądku. Miłość i wrzody. Nieuchronnie następowały po sobie jak dzień po nocy.

- Powiniennem natrzeć ci uszu.

Gabe jęknął, widząc stojącego w drzwiach Archie'ego.

- Do diabła. Ktoś powinien był uprzedzić mnie, że dziś jest Dzień Zburzenia Życia Gabe'a Coultera. Właż, Archie, natrzyj mi uszu. To pozwoli mi zapomnieć o żołądku.

Powinność zawodowa wzięła górę nad żądzą zemsty przejawianą przez Hornbakera. Co prawda, tylko na chwilę.

- Wrzody? - spytał z troską w głosie.

- Nie, Archie - rzucił Gabe uszczypliwie. - To tylko chwilowa dolegliwość. Tak, psiakrew, to wrzody! Czuję, jakby wulkan eksplodował mi w brzuchu.

- No cóż. Zbierasz, co posiałeś. Rozmawiałem właśnie z tą zapłakaną dziewczyną przed twoim domem i coś ci powiem. Ona całkiem traci zmysły ze strachu. Uważa, że nic cię nie obchodzi.

- Odsyłam ją do domu. Nic lepszego nie mogę dla niej zrobić.

- Możesz nazywać mnie głupcem, ale nie sądzę, by ona uważała tak samo.

Archie urwał nagle, poruszony nową myślą.

- Gdzie właściwie jest jej dom? - spytał.

- W Los Angeles. Ta zapłakana dziewczyna przed moim domem nazywa się Angel Conaught i warta jest więcej pieniędzy niż ty, ja i wszyscy w Kolorado razem wzięci.

- O co ci naprawdę chodzi? - spytał Archie.

Gabe wznosił oczy do nieba.

- Mniejsza z tym. Daj mi spokój. Nie rozumiem, czemu znoszę jeszcze tę rozmowę.

- Ja też, do diabła, nie wiem. I tak nigdy mnie nie słuchałeś. Ale tym razem mnie wysłuchasz. - Doktor pogroził Gabe'owi pięścią. - I ty, i ja dobrze wiemy, czemu zachowujesz się jak osioł.

Gabe zmarszczył groźnie brwi.

- Co to znaczy, że zachowuję się jak...

- Cicho! - przerwał mu Archie. - Teraz ja mówię. Wysłuchaj mnie uważnie. Może się czegoś nauczysz. Gdy przybyłeś tutaj dwa lata temu, byłeś żalonym strzępem człowieka. Pomogłem ci, albowiem nigdy przedtem nie spotkałem kogoś równie mocno pragnącego zerwać z błędami przeszłości. I dokonałeś tego, do diabła, zrobiłeś to. Uratowałeś siebie i możesz być z tego dumny.

Po chwili ciszy dodał łagodnym głosem:

- Ona nie wie, tak? Ukrywasz to. Nie powiedziałaś jej.

- Że dzień w dzień byłem w trupa pijany przez siedem długich lat? - Gabe ukrył twarz w dłoniach.

- Nie, Archie. Nie dyskutowaliśmy o tym przy śniadanku.

- Mówisz tak, jakbyś był żalonym lumpem. A to nieprawda. Byłeś najlepszym adwokatem na Wschodnim Wybrzeżu.

- Byłem - wyszeptał Gabe. - Nie przegrałem ani jednej sprawy. Tylko dlatego byłem w miarę trzeźwy

w ciągu dnia. Musiałem utrzymać tę wspaniałą reputację. Winny czy nie, jeśli broni cię Gabe Coulter, możesz nie martwić się niczym. Może tylko tym, jak zapłacić mu astronomicznie wysokie honorarium.

Archie stał tyłem do drzwi. Gabe siedział ze zwieszoną nisko głową. Żaden z nich nie spostrzegł stojącej w drzwiach A.J.

- Jesteś dla siebie zbyt surowy - powiedział Archie cicho. - Zawsze byłeś. A przecież zrobiłeś wiele dobrego.

- I wiele złego - odparł Gabe. - Dlatego tak trudno było mi żyć. Butelka to wspaniała rzecz. Gdy ją masz, zawsze możesz uspokoić sumienie, prawda?

- To już minęło. Masz całe życie przed sobą.

Gabe uśmiechnął się smutno, spoglądając na przyjaciela.

- Ja już miałem swoją szansę w życiu. Przegapiłem ją. Czego chcesz ode mnie? Żebym padł na kolana i błagał dziewczynę taką jak A.J., by została w samym środku dzikiej głuszy z żalonym wrakiem człowieka u boku? Ona cały świat ma u stóp. Dosłownie. Nawet nie spodziewam się...

Ponad ramieniem Archie'ego dojrzał A.J.

Stała cicha i piękna, bez śladu gniewu na twarzy. I tylko wyglądała na dużo starszą, niż była w rzeczywistości.

- A niech to diabli! - wyszeptał Gabe.

A.J. wolno podeszła do doktora.

- Czy mógłbyś zostawić nas samych?

- Życzę ci szczęścia - powiedział Archie łagodnie.

- On jest człowiekiem skomplikowanym, ale nie wierz, że nie ma dla niego nadziei.

Gdy doktor Hornbaker wyszedł, Gabe'a opuściła nagle cała odwaga. Spróbował wstać z łóżka, lecz wrzody przypomniały o sobie okropnym bólem.

- Czemu nie powiedziałaś mi, że masz wrzody?
- spytała cicho.

- Sądziłem, że wszystko jest pod kontrolą - wykrztusił, gdy ból zelżał nieco. - Wszystko było pod kontrolą, zanim...

- Zanim ja się pojawiłam. - Wahała się przez moment, a potem usiadła obok niego z rękami złożonymi na kolanach. - Nie byłeś ani trochę uczciwszy wobec mnie niż ja wobec ciebie.

- Chyba tak. - Nie śmiał spojrzeć jej w oczy.

- Na pewno.

Milczeli chwilę. Nagle poczuł kolejny atak bólu, gdy usłyszał pytanie:

- Czy ożeni się pan ze mną, panie Coulter?

- Psiakrew! - Tym razem zdołał wstać. - Co z tobą, do cholery? Nie słyszałaś, co powiedziałem Archie'emu? Jestem alkoholikiem! Trzymam na kominiku butelkę bourbona, żebym nigdy nie zapomniał, jaki jestem słaby. Mała rzecz. Wystarczyła jednak, by zniszczyć mi i życie, i karierę. Chociaż właściwie sam nie wiem, czy to alkohol, czy raczej mój charakter. Nieważne. I tak nie jestem wiele wart. Trudno uważać mnie za wygraną na loterii.

- Mnie również - rzekła w zadumie. - Jestem samolubnym, próżnym, nierozważnym, użalającym się

nad sobą bachorem. Chociaż miałam wszystko, nie wiedziałam, co to szczęście. Dopóki nie znalazłam się tutaj. I nigdy nie troszczyłam się o kogoś poza sobą, zanim poznałam ciebie. Na pewno nie jestem wygraną na loterii.

- Mam dla ciebie nowinę. - Gabe spróbował chodzić wolno po pokoju z ręką przyciśniętą do brzucha.

- Jesteś piękna, dowcipna i masz całe życie przed sobą. Wracaj do swojego domu i zacznij żyć od nowa.

- Czemu sam tego nie zrobisz?

- Czego?

- Czemu nie zaczniesz żyć od nowa?

Zatrzymał się i spojrzał na nią nie widzącym wzrokiem.

- Ja żyję, dziecińco. Mam, czego mi potrzeba. Znalazłem tutaj swoje miejsce.. Nie potrzebuję pieniędzy czy innych podniet twojego świata. Zszedłem z tej sceny wiele lat temu. Tutaj właśnie znalazłem to, czego szukałem.

- Siebie? - szepnęła. - To chciałeś powiedzieć? Przyjechałeś tutaj, żeby odnaleźć siebie?

- Właśnie tak.

- Jesteś kłamcą. - Jej głos drżał. - Nie odnalazłeś siebie, Gabrielu Coulter. Tutaj nigdy siebie nie odnajdziesz. Wiesz dlaczego? Bo zgubiłeś siebie zupełnie gdzie indziej. Stało się to bardzo dawno temu w całym innym miejscu. Po prostu ukrywasz się tutaj, przeczekujesz.

- Co ty możesz wiedzieć?! - krzyknął. - Masz jeszcze mleko pod nosem, a wyobrażasz sobie, że wiesz

wszystko. Pozwól, że cię oświecę, Zygmuncie Freudzie. Wiele lat temu, gdy byłem u szczytu sławy i kariery, podjąłem się obrony syna pewnego senatora, oskarżonego o napad z bronią w ręku. Wiesz, dlaczego wziąłem tę sprawę? Z dwóch powodów. Dawała ogromny rozgłos i wielkie pieniądze. No i udało mi się. Mój klient został uniewinniony z przyczyn proceduralnych. Dwa miesiące później ten sam szczeniak został aresztowany za napad na sklep. Tylko tak się śmiesznie złożyło, że właściciel tego sklepu nie przeżył.

- I zacząłeś pić - powiedziała po chwili.

- Nie. Zacząłem więcej pić. Mimo tego nie zrezygnowałem z wykonywania zawodu. Tak jak nie zerwałem z nałogiem. Dopóki dwa lata temu nie zrozumiałem, że zabijam sam siebie. Pewnego dnia wyszedłem z biura i nigdy już tam nie wróciłem. To był koniec.

- Mnie to wygląda raczej na początek - westchnęła.

- Chwilami zapominam, że właściwie jesteś jeszcze dzieckiem - mruknął. - Jedź do domu, A.J. Narzeczony numer sześć czeka gdzieś tam, w twoim świecie. Znajdź go, nie trać czasu.

- Chcę być twoją żoną - powiedziała łagodnie, jakby w ogóle nie usłyszała, co Gabe powiedział. - Chcę żyć z tobą i kochać cię przez całe życie. Nie będę jednak pomagać ci ukrywać się. Nie zamierzam cię krzywdzić.

- Któreś z nas zwariowało. - Ból i rozpacz dźwięczały w jego głosie. - I któreś z nas zupełnie nie słucha słów drugiego. Nie prosiłem cię o rękę.

- Ale chcesz tego - powiedziała A.J. - Myślisz, że nie wiem, jak bardzo byłeś samotny, zanim ja się tu zjawiłam? Że uczyniłam cię szczęśliwym?

- Szczęśliwym? - Gabe skrzywił się, jakby znów odebrał sygnał od swoich wrzodów. - Dziecino, jesteś niezwykle pewna siebie.

- Jestem tylko rozsądna. To moje nowe credo życiowe: „Bądź realistką!” W przeszłości nigdy taka nie byłam. Ostatnio jednak wiele się zmieniło i poczułam, że coś potrafię. Umiem prowadzić samochód - trochę. Potrafię rozpalić kuchenkę gazową, umiem zaprojektować domek na drzewie. I potrafię wywołać uśmiech na twarzy upartego, samotnego i zgorzkniałego pustelnika, kiedy tylko zechcę. A to dopiero początek.

Gabe stał bez ruchu, bez słowa. Wydawało się, że w ogóle nie oddycha.

- Wystarczy - powiedział łagodnie. - Jedź do domu. Nie pasujesz do Gopher, Angel Conaught.

- Ophir. - Wytrzymała jego spojrzenie. - I chyba ma pan rację, panie Coulter. Nie pasuję do tego miejsca. Tak jak i ty. Można tu przyjechać na wycieczkę, na wakacje, ale zupełnie nie nadaje się ono na kryjówkę przed światem. I mów do mnie: A.J.

Coś w nim umarło. I nie były to wrzody, te miały się świetnie. Było to coś jasnego i pięknego w jego duszy. Coś, czego nie umiał nawet nazwać.

- Ty zupełnie nie wiesz, o czym mówisz - warknął.

- Jesteś pewien, że byłeś dobrym prawnikiem? - Zmarszczyła brwi. - Jeśli to ma być najlepszy sposób postępowania w sytuacji kryzysowej...

- Byłem niewiarygodnie dobrym prawnikiem!
- Skoro tak twierdzisz... - Wzruszyła ramionami i ruszyła ku drzwiom z wysoko uniesioną głową. Gabe nigdy się nie dowie, ile ją to kosztowało. Z rozdartym sercem powstrzymywała się, by nie paść mu w ramiona i całować go z całych sił. Porzuciła raj i samotnie odchodziła w okrutny świat. Wierzyła w Gabe'a Coultera z całej mocy. Lecz to nie wystarczyło. Albo on sam sobie zaufa, albo zostanie emocjonalnym kaleką na całe życie.
- Chcę ci podziękować za opiekę. Kocham cię z całego serca i myślę, że będziesz beze mnie bardzo nieszczęśliwy. Mimo to postanowiłam wyjechać. Póki doktor Hornbaker jest tu jeszcze, poproszę go, by zabrał mnie do miasta. Jeśli zechcesz kiedyś zobaczyć się ze mną, to mieszkam w Laguna Niguel, niedaleko Los Angeles. To wszystko, co mogę zrobić. Na mnie już czas.

W tym momencie Gabe Coulter dostrzegł w A.J. tę kobietę, której szukał przez całe życie. Zdecydowaną, upartą, niezależną i wystarczająco niewinną, by bez trudu zniszczyć dzielące ich przeszkody. Siłą swych marzeń i optymizmu.

Dobry Boże, jak on ją kochał!

- A.J.?

Zatrzymała się w drzwiach rozdarta między nadzieją i niewiarą.

- Tak?

- Przepraszam. Chciałbym móc ofiarować ci to, na co zasługujesz.

Zamrugała gwałtownie powiekami, by powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

- A na co, twoim zdaniem, zasługuję?

Zamknął oczy.

- Na dobrego człowieka. Na kogoś, w kogo mogłabyś wierzyć.

- Już go znalazłam. - Odwróciła się, by ukryć łzy, których nie zdołała powstrzymać. - I teraz jadę do domu, by tam na niego czekać.

- Nie trać czasu, A.J. Nie jestem ciebie wart.

- Myślę, że o tym zdecyduję sama. Do widzenia, panie Coulter.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Popatrz tam, na lewo od fontanny. Na tamto drzewo. Widziałeś kiedyś coś takiego?

- A więc to jest ta sławna rzeźba. Ktoś mi mówił, że Angel sprowadziła artystę aż z Europy, żeby to wykonał.

- Jest w tej konstrukcji coś europejskiego. Subtelny i zabawny bezsens.

- Jest doprawdy interesująca. Angel Conaught śmiało lansuje nowe kierunki, naprawdę śmiało.

- Skoro już mowa o śmiałości, poznałeś już żonę George'a Marchanda? Z zapałem uprawia gimnastykę i wygląda na własną córkę. Chodźmy do środka, przedstawię cię.

A.J. stała w zacienionej części tarasu. Czekwała, aż roześmiana para wejdzie do domu. Nie poznała ich. Bo przecież nie znała osobiście większości osób, które przyszły na przyjęcie do jej domu. Listę gości ułożyła jej sekretarka, a znaleźli się na niej głównie różni kierownicy z „Conaught Industries”. Wydała to przyjęcie za radą i namową Dwighta Schullera, jednego z najlepszych przyjaciół jej ojca i wiceprezesa firmy. Nudziło ją to śmiertelnie, ale było konieczne. Tak przynajmniej uważał Dwight. Umacniało to pozycję kon-

cernu, potwierdzało, że zajęła w jego władzach miejsce ojca. Godziła się na to wszystko z lękiem. W ciągu ostatnich trzech miesięcy próbowała trzymać się na uboczu, z dala od spraw, których nie rozumiała. Ale robiła ogromne postępy. Solidne wykształcenie, jakie odebrała, i wyraźne sukcesy w opanowywaniu obowiązków zdjęły wielki kamień z serc członkom Zarządu „Conaught Industries”. Mogli mieć nadzieję.

Noc była chłodna.

Większość gości i tak radziła sobie bez jej pomocy, więc Angel skryła się na tarasie. Szukała ciszy i samotności. Jak zwykle ostatnio. Uniosła długą, wąską sukienkę i zeszła po schodach na trawnik. Po chwili znalazła się wśród otoczonych żywopłotem figur i posązków. Cały ten zakątek powstał w hołdzie dla mądrości doktora Archie'ego Hornbakera. Ilekroć znalazła się tam, zawsze uśmiechała się radośnie. W samym środku, wśród wspaniałych okazów kalifornijskiej flory stał na niewielkim postumencie marmurowy amorek trzymający tablicę z wyrytym napisem: „Naczelną powinnością człowieka jest bawić się”.

Nie marmurowy amorek, nie uroczy zakątek tak zainteresowały jednak parę gości na tarasie. To było coś, o czym A.J. marzyła całe życie. Wysoko, wśród potężnych konarów stuletniego dębu widniał najwspanialszy w całej Kalifornii nadrzewny dom.

Był oczywiście inny dom nadrzewny, równie jak ten wspaniały, ale w stanie Kolorado. Daleko, daleko stąd.

Poczuła ucisk w sercu. Jak zawsze, gdy wracała

myślami do miasta o dziwnej nazwie Ophir i do mężczyzny o najpiękniejszych na świecie oczach. Wydawało się jej, jakby że spotkała go przed wiekami, czasami zaś, że to było wczoraj.

Minęły trzy miesiące, a ona wciąż czekała. Wypatrywała go na każdym kroku, nasłuchiwała jego głosu. Gabe Coulter zawładnął jej sercem. Nie powinien był pozwolić jej wyjechać! Tęskniła za nim i czekała.

A on nie przybywał.

Podeszła do dębu i spojrzała w górę. Z zadowoleniem i satysfakcją oglądała swoje dzieło. Budowa zabrała jej prawie pół miesiąca, ale wszystko zrobiła sama. Wybudowała cały nadrzewny dom bez niczyjej pomocy. Gdyby ktoś chciał, bez trudu znalazłby krzywo wbite gwoździe i szpary tu i tam. Lecz A.J., tak jak tych dwoje na tarasie, widziała w tym dzieło sztuki. Gabe byłby z niej dumny. Gdyby tu był, pomyślała.

- Cholera! - szepnęła. Przymknęła oczy i oddała się wspomnieniom. Czekwała na cud. Wierzyła, że gdy otworzy oczy, ujrzy przed sobą Gabe'a.

Lecz cuda się nie zdarzają.

Przez ostatnie trzy miesiące wciąż powtarzała sobie: „Możesz być tym, kim tylko zechcesz. Potrafisz zrobić wszystko, co zechcesz”. Lecz było to trudne, gdyż nigdy nie opuszczała jej świadomość, że straciła Gabe'a. Codziennie budziła się z bolesnym zdziwieniem, że nie ma go u jej boku. Nie mogła znaleźć sobie miejsca. Wszędzie było jej źle.

Pod wpływem nagłego impulsu zrzuciła pantofelki,

uniosła suknię i postawiła bosą stopę na drewnianym stopniu. Zadarła głowę i popatrzyła na domek w skupieniu. Powinno się udać mimo ciasno opinającej ciało sukienki. Tym bardziej że w tym momencie pragnęła tylko tego, by móc posiedzieć spokojnie w absolutnie samodzielnie zbudowanym domu na drzewie.

Podciągnęła sukienkę wystarczająco wysoko, by swobodnie wspinać się po stromych schodach, i wolno ruszyła w górę. A że młodej damie, gospodyni przyjęcia, nie wypada zachowywać się w podobny sposób? Nawet o tym nie pomyślała.

Z góry roztaczał się wspaniały widok. Przysiadła na poduszce przyniesionej tu kiedyś i wsłuchiwała się w ciche dźwięki dobiegającej z domu muzyki. Pomyślała, że z daleka wygląda to na całkiem udane przyjęcie. Goście chyba są zadowoleni.

- Powinnaś dostać klapsa.

To niesamowite, jak bardzo głos jednego człowieka potrafi być czasem podobny do głosu innego. Ten, który usłyszała, doleciał gdzieś z dołu... ale przecież nie z Kolorado. Ale jej serce zatrzepotało nagle w piersi jak spłoszony ptak. Powoli odwróciła głowę i spojrzała w dół. Stał tam, pod drzewem, z zadartą głową. Piękny, żywy, w luźnych spodniach i białym swetrze.

Pan Coulter.

- Ściąłeś włosy - zdumiała się.

- A ty nosisz różową koronkową bieliznę. Bardzo ładną bieliznę, nie powiem. Ale cieszę się, że to właśnie ja znalazłem się pod tym drzewem.

- I ja też - szepnęła, przyciskając do ust drżące palce. - Och, ja też!

Wcisnął ręce w kieszenie spodni gestem człowieka, który nie bardzo wie, co powinien zrobić.

- Ubrałbym się trochę lepiej, trochę bardziej elegancko, gdybym wiedział, że trafię takie przyjęcie.

- Jesteś ubrany elegancko - powiedziała z uśmiechem. - Masz na nogach lśniące buty.

- Są nowe. - Uśmiechnął się także, choć nadal bardzo niepewnie. Potem ledwo słyszalnie dodał:

- Jesteś zbyt daleko. Idę do ciebie.

Boże! Łzy, które nosiła w sobie przez te długie trzy miesiące, wylały się z niej teraz jak wodospad, nagle i bez ostrzeżenia. Wierzchem dłoni ocierała mokre policzki, zastanawiając się, czy to może tylko sen i czy oznacza to właśnie to, czego pragnęła.

Jednak w głębi duszy czuła, że skończyło się oczekiwanie.

Przysiadł obok niej i delikatnie ścierał łzy z zaczerwienionych policzków.

- Nie płacz - powiedział. - Kochanie, proszę, nie płacz. Wszystko będzie dobrze. Naprawdę. Nie byłoby mnie tutaj, gdybym nie był tego pewien.

Zacisnęła dłonie na jego swetrze i wtuliła twarz w białą wełnę.

- Wiedziałaś, że tak będzie. Zawsze. Czemu to trwało tak długo?

- Czasem, kiedy zagubisz się... musi trochę potrwać, zanim potrafisz się odnaleźć. - Przytulił ją mocno. - Znow pracuję. W Los Angeles założyłem

spółkę z przyjacielem. Głównie doradztwo handlowe. A.J., maleńka, nie płacz już tak gwałtownie, bo coś ci się stanie.

- Nie mo... mogę przestać - załkała. - Cała moja samotność i rozpacz tkwiły we mnie tak długo.

- Przepraszam cię, kochanie. - Ujął w dłonie zapłakaną twarz A.L. Całą umazaną tuszem do rzęs.

Była taka piękna.

- Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Ale musiałem zyskać pewność, że będziesz przy mnie bezpieczna.

Zadrzała. Uspokajała się powoli, gdy docierał do niej sens jego decyzji. Owszem, była przekonana, że Gabe musi zmierzyć się ze swoją przeszłością, aby znów stać się wolnym człowiekiem. Lecz czy nie pomyliła się?

- Ja również nie chciałam cię skrzywdzić. Pragnęłam, żebyś był szczęśliwy. Jeśli się pomyliłam i to wszystko jest dla ciebie zbyt trudne, zbyt bolesne...

- To jest straszne - przyznał cicho. Nagle uśmiechnął się. - Ale nie tak straszne, jak ci piękni ludzie w twoim małym domku. Czy wiesz, że oni wszyscy mają idealne zęby, opaleniznę i włosy? Przyjrzałem się im, gdy krążyłem, szukając ciebie. Tyle doskonałości w jednym miejscu. Nie dziwię się, że uciekłaś na drzewo.

- Sama zbudowałam ten domek - powiedziała z dumą. - Nie jest doskonały.

- Perfekcja i doskonałość wyszły z mody. Czy nauczysz się łowić ryby?

- Być... może. - Błady uśmiech pojawił się na jej twarzy.

- A ja codziennie będę ci robił na śniadanie grzanki. I pozwolę ci nosić moje ubrania, kiedy tylko zechcesz. Własnoręcznie zrobię wspaniałą, drewnianą kołyskę dla naszego pierwszego dziecka. Kołyski powinny się kiwać, prawda? A takie sprzęty potrafię wykonać. Wszystko, co zrobię, kiwa się niemiłosiernie.

- Wiem, niestety. - Zaśmiała się głośno. - Przepraszam.

Pocałował ją. Mocno. Po chwili wyszeptał:

- Nie przepraszaj. Nie przepraszaj za nic. Nigdy. Kocham cię. Przysięgam chronić cię i miłować do końca życia.

- Ale ja mam pieniądze... -jęknęła, jakby wyznawała najcięższą winę. Tak zresztą naprawdę uważała.

- Wiem. Ja jestem zbyt stary, a ty zbyt bogata. Robię kiwające się sprzęty, a ty nie znasz się na muzyce. Ja mam wrzody, a ty jesteś beksą. To jest po prostu życie. Jakoś przez nie przebrniemy.

Drogi pan Coulter.

Zawsze potrafił dotrzeć do sedna sprawy. Kochała go jak nigdy nikogo. Fakt, że dla niej podjął walkę z własnymi upiorami, znaczył więcej, niż potrafiła to wyrazić. Jeszcze nigdy nie była dla kogoś aż tak ważna.

- Będę się tobą opiekować - szeptała. - Będziemy wzajemnie dbać o siebie.

- W tej sukni już wyglądasz jak anioł - powiedział między kolejnymi pocałunkami.

Położyła mu palec na ustach.

- Z tą fryzurą wyglądasz jak prawnik - powiedziała.
- Jestem prawnikiem. Piekielnie dobrym prawnikiem.
- No cóż. Ja nie jestem aniołem.
- Co robisz?!
- Udowadniam to. Czy możemy pojechać w podróż poślubną do Gopher?
- Do Ophir! Nie możemy robić tego na drzewie! Nie możemy... nie... och. Cudownie. Jesteś taka wspaniała...
- Pan też, panie Coulter.
- Mów mi: Gabe.